



№ 49.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 2 grudnia 1876 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom II.



Treść numeru. Dobra szkoła (drzeworyt).—Maurycy Mann.—Kronika tygodniowa.—Przegląd polityki zagranicznej. — „Król jednozmowy“ (z drzeworytem). — Wystawa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych. — Od redakcyi.—Korespondencya z Wilna. — Z wystawy przemysłowo-rolniczej w muzeum warszawskim (2 drzeworyty).—Szachy.—Rebus.—Szwedzkie dziecko, powieść (dalszy ciąg).—Wigilia św. Andrzeja (drzeworyt).—Mały pomocnik (drzeworyt).—Listy ze stolicy Węgier.—Korespondencya ze Lwowa.—Przegląd teatralny.—Pojedynki szlacheckie, komedia (dalszy ciąg). — Sztuka włoska w epoce odrodzenia (dokoliczenie).—Stefan Lawrence, powieść (dalszy ciąg).

MAURYCY MANN.

W Krakowie d. 13 listopada r. b. umarł znany powszechnie publicysta i redaktor, Maurycy Mann.

Prasa peryodyczna, zwłaszcza też polityczna, nie jest w Galicyi, jak za granicą, potęgą, którą już dawno na równi z potęgami państwowymi postawiono, tak dalece głos jej w sprawach europejskich jest ważny, wypływowi i na szali wydarzeń przeważający. Polityczne dzienniki polskie prowadzą tu po największej części żywot z dnia na dzień; nie mają szerokich wpływów, nie mówię już na ogólny europejski bieg wypadków, ale nawet na stan i stosunki krajowe lub miejscowe, ani także z drugiej strony wielkich środków materialnych, któreby popierały ich rozwój, utrzymywały samostojność i niepodległość zdania. Te co istnieją czas dłuższy, utrzymują się ofiarnością pracy albo drobnych kapitałów ludzi dobrej woli; daleko zaś większa ich liczba upada z braku dwojakich sił: moralnych i materialnych, aby ustąpić niyb miejscem innym; ale i te inne oplacają zwykle swoje śmiałość niemniej prędkim, częstokroć bez chwały, upadkiem. Rzecz zresztą całkiem naturalna, że tak się dzieje, i każdemu wiadomo, dlaczego tak się dzieje. W położeniu dziennikarstwa polskiego w Galicyi trudnym, niemożliwym jest dla ludzi pracujących koło niego wybić się na wierzch, pozyskać pewne imię i uznanie od ogółu. Maurycy Mann jednak należał do rzędu tych niewielu publicystów, którzy tego dokazali, bo znanym był powszechnie i wysoko cenionym, zarówno w Galicyi, jak po za jej granicami.

Mann urodził się w Krakowie, d. 2 października 1814 r. Wychowaniem jego kierowała głównie matka, Ernestyna z Hauseygerów. Pomimo niewybitnego stanowiska, jakie jej dawał mąż, będący urzędnikiem, żyła ona długo w najwyższych sferach towarzyskich i doznawała od nich powszechnego szacunku i przyjaźni. Przez jej pośrednictwo wpływ atmosfery arystokratycznych domów udzielał się także od dzieciństwa i umysłowi syna.

Wyszkolenie szkolne pobięrał młody Maurycy Mann w Krakowie, w gimnazjum świętej Anny, po ukończeniu którego przez dwa lata uczęszczał na uniwersytet krakowski. Dla dalszych studyów udał się w r. 1832 do Genewy. Był tam podówczas słynny pensjonat pana d' Aulnoy, do którego zwykle oddawano młodzież polską, i w tym zakładzie młody Mann przebył trzy lata, razem z wieloma innymi rodakami z zamożnych i pańskich domów.

Genewa pod owe czasy skupiała w sobie na dłuższy lub krótszy czas wiele znakomitości europejskich. Profesorem ekonomii politycznej był tam znakomity Rossi. Historyk Sismondi usunął się już od uniwersytetu, ale lubił udzielać się młodzieży i wpływał na nią. Aleksander Dumas, lady Byron, pani Georges Sand, w przejeździe do dalszych stron, zawadzali także o to miasto, a wreszcie bawił tutaj w owęj porze i Mickiewicz. Spotykając się z podobnymi ludźmi, chociażby najdalej, nie mogło pozostać bez pewnego wpływu na rozwijający się umysł młodzieńca.

Z Genewy przeniósł się do Paryża, gdzie dwa lata zabawił, uczęszczając do Collège de France. Wróciwszy do kraju w r. 1837, próbował rozmaitych zawodów, dla zdobycia sobie niezależności i zapewnienia bytu. Zajmował się najprzód gospodarstwem, wzięwszy w dzierżawę wieś od hr. Wodzickiego. Tym sposobem odsunął się na czas dłuższy od życia i świata umysłowego, i z owęj epoki ważniejszym wydarzeniem była dla niego

jedynie pierwsza podróż do Rzymu, odbyta w roku 1843. Niezadługo klęski, w gospodarstwie wiejskim doznawane, skłoniły go do opuszczenia roli i do przeniesienia się w Poznańskie. Tutaj, przebywając to u ks. Sulkowskich w Rydzynie, to u hr. Mycielskich w Rokosowie, po raz pierwszy wziął się do pióra.

Dramat był polem, na którym sił swoich najprzód doświadczał. „Sztuka i miłość“ (wydana w Poznaniu 1849) rozpoczęła jego prace dramatyczne, do których z ogłoszonych drukiem należą jeszcze: dramat „Nigdy i zawsze“ (Kraków 1856) i „Dzisiaj, czyli wieniec konwalij“ (Kraków 1857). Żaden z tych utworów nie zadowolili krytyki, żaden też, o ile nam wiadomo, nie był wystawiany na scenie. Również niepomyślną była jego próba na polu powieściopisarstwie, p. t. „Szara godzina“ (Kraków 1854), przetłumaczona na język niemiecki w „Posener Zeitung.“ Szczególnie krytyka warszawska bardzo ostro z tą powieścią się obeszła. Dla Manna i jego zdolności przeznaczone było inne pole działania, które też niezadługo znalazł i na którym pozyskał chlubne imię.

W końcu 1848 r., wśród niepokoju i zamieszek politycznych, kilku ludzi ze sfer arystokratycznych założyło w Krakowie nowy dziennik polityczny, z kierunkiem konserwatywnym. Na korespondenta tego dziennika wezwano wkrótce Manna, bawiącego wtenczas w Poznaniu, i tym sposobem wszedł on na drogę publicystyczną, na której utwierdziły go później bliższe stosunki z nowym dziennikiem krakowskim. Gdy bowiem niektórzy z pierwotnych założycieli, w skutek zajęć na innym polu, od pracy redakcyjnej usunąć się musieli, powołano Manna 1848 r. do stałego współpracownictwa.

Poglądy i zasady polityczne Manna, jakoteż i pisma które przez czas tak długi jego duchem oddychało, z wielu względów niezawsze odpowiadały uczuciom i wyobrażeniom ogółu mieszkańców. Zwolennicy, przyjaciele i uczniowie jego powiadają, że Mann pierwszy wprowadził dziennikarstwo polskie w Galicyi na europejskie tory, że pierwszy zarazem na sprawy krajowe z ogólnego europejskiego stanowiska zapatrywać się umiał. Jest to najszczerza prawda, jak również zaprzeczyc i temu nie można, że dziennikarstwo galicyjsko-polskie zawdzięcza mu pewnego rodzaju postępowanie i rozszerzenie swojego widokręgu. Ale korzyści, jakie w ten sposób zostały osiągnięte, równoważą się zupełnie przez straty i strony ujemne. Mann traktował sprawy europejskie, odnośnie do stosunków krajowych, ze stanowiska zbyt abstrakcyjnego i kosmopolitycznego. Legitymizm dynastji burbońskiej, sprawa władzy doczesnej papieża i inne drobniejsze tego rodzaju kwestye leżały mu równie, a może nawet więcej na sercu, niżeli rzeczy daleko silniej i bezpośrednio cały kraj obchodzące. Niedziw że podobnego rodzaju tendencye, odpowiadające tylko usposobieniu i chęciom pewnych kół społeczeństwa, nie mogły znaleźć u ogółu sympatyj. Przyznał to samo jeden z mówców na jego pogrzebie. „Od sprawy władzy świeckiej papieża—rzekł—zachwiała się wziętość Manna w kraju, a zaczęły jakieś względem niego podejrzenia.“ Jako publicysta takim duchem ożywiony, przyczynił on się do rozszerzenia pojęć, które religią z polityką miesza, używając ich nawzajem jako podpór dla siebie. Ze wszystkich publicystów, w tym kierunku występujących, on niezaprzeczenie był najpierwszym, najkonsekwentniejszym i najwięcej utalentowanym.

Dla dopełnienia tego krótkiego rysu życia, wspomnieć jeszcze musimy o kilku jego pracach, tak politycznych jako i literackich. Do pierwszych należą broszury odnoszące się do władzy świeckiej papieża, jak „Biskupi franczyzy w sprawie Państwa kościelnego“ (r. 1860) i napisana po francuzku: „Le Pape et l'Europe“ (r. 1867), która zjednała mu od papieża Piusa IX krzyż komandorski św. Grzegorza. W miesięcznym czasopiśmie „Dodatek do Czasu“ umieszczał także szereg artykułów politycznych, rozbiierających sprawy społeczne. Najważniejszą jednak i najwięcej znaną jego pracą literacką była „Podróż na Wschód,“

wydana w trzech tomach w Krakowie (1854—1855). Jest to opis podróży, jaką Mann odbył w towarzystwie hr. Adama Potockiego i jego rodziny do ziemi świętej i Egiptu. Akademia umiejętności w Krakowie, w uznaniu jego zasług, obrała go swoim członkiem.

Kronika tygodniowa.

K r a j o w a .

Zima, która już zesłała nam śniegi i mrozy, zwiastunami temi boleśnie przypomina ludziom ubóstwo i... miłosierdzia obowiązki. Sypią się też po pismach odezwy, zachęcające do składek na ubogich, którym z łatwością zbraknąć może grosza na chleb codzienny, a tém bardziej na drzewo lub węgiel. Tymczasem ciepło jest niezbędnym warunkiem życia, tak jak i posiłek, bogatszym więc godzi się odłożyć grosz zbywający dla ubogich, aby nie poumierali z głodu i zimna.

Dobrzeby było jednak, aby pomoc taka nie opóźniała się, obyczajem lat przeszłych. Nadchodzący grudzień przynieść może mrozy tęgie, a z niemi odjąć wszelkie środki zarobku dla ludności miasta najuboższej i z dnia na dzień, z pracy krwawej żyjącej. Jesteśmy zdania, że grosz, na zapomogę zimową przeznaczony, w porze letniej jeszcze zbieranym być winien, a już nie odwołalnie we wczesnej jesieni. Ostatnie chwile, chwile zewsząd naciskającej a nieubłaganej potrzeby, najmniej do tego są sposobne. I dlatego to wszelkie koncerty i widowiska, na cel miłosierny dawane, najkorzystniej oddziaływałyby mogły w jesieni i na początku zimy, a nie przy jej końcu, jak to bywało dotąd. Słusznieć to mówi przysłowie, że na nie musztarda po obiedzie. Nie widziemy też powodu, dlaczego ubodzy cierpieć mają wszystkie męki zimowej pory, aby z pierwszemi dniami kwietnia otrzymywać spóźniony zasilek. Wydaje się to, jakby płocha igraszka z nędzy.

„Gazeta polska“ zawiadomiła w jednym z numerów swoich w ubiegłym tygodniu, iż dla nauki i pożytku czytelników pomieszczać będzie sprawozdania z działalności sądów, z uwagami i objaśnieniami kompetentnych sprawozdawców.

Za tym przykładem poszedł też i „Kuryer codzienny,“ który bez fałszywego wstydu umie z dobrych przykładów korzystać.

Pomysł „Gazety polskiej“ uważamy za bardzo szczęśliwy. Zaraz też pismo to zamieszcilo kilka sprawozdań sądowych, krótkich, zwięzłych i jasnych, w których chodziło nietyle o opowiadanie zbrodniczych faktów lub romansowych zawikłań, ile o wykazanie prawnych trudności i niedoborów. Tym sposobem sprawozdania o których mowa noszą cechę prawdziwego pożytku i celu istotnie obywatelskiego.

Dobrzeby było, aby wszystkie pisma codzienne naśladowały chwalebny przykład, jaki dała „Gazeta polska.“ Potrzeba oznajmiania się z nową procedurą sądową ze strony mas jest gwałtowna; radykalne zmiany pod tym względem, z reformą od lipca wprowadzone, muszą pociągać za sobą chaotyczne powikłania dopóty, dopóki masy nie zrozumieją, o co mianowicie w reformie tej idzie. Z drugiej też strony objaśnienia prasy i dla sądów samych będą pożądane, skoro na czele tych instytucyj stanęły w znacznej części osoby, nieznające obyczajów i zwyczajów miejscowych, a tém samém i potrzeb tutejszej ludności.

Pan Hüsić, księgarz i wydawca, w bieżącym roku pierwszy wystąpił ze zbiorciem książek dla dzieci i młodzieży. Jest tego wiązanka spora, bo sztuk aż sześć, a wszystkie wydane starannie i pięknie.

Więc najprzód idzie elementarz dla małych dzieci, pod tytułem: „Ach! co za prześliczne abe-

cadło,“ pełen barw, calutenki w obrazkach, z literami różnych kształtów, z rysunkami zwierząt i przedmiotów najrozmaitszych i, co stanowi nowość, z nutami w dwóch kluczach, przy odpowiednich głoskach.

Dla doroslejszej młodzieży jest tu dziełko z portretami p. t. „Z rodzinnej zagrody,“ zbiór życiorysów znakomitości naszych, pióra K. W. Wójcickiego.

Inna znów książeczka, p. t. „Z domu i ze szkoły,“ zawiera dużo najrozmaitszych wiadomości naukowych, wyjaśnień zjawisk natury, faktów zarówno wyjątkowych, jak i pospolitych, a wszystko to okraszone zajmującymi opowieściami, w których i moralne, zdrowe ziarno czytelnicy młodzi odnaleźć mogą. I tu rysunków mnóstwo.

Równie nauczająca i równie zajmująca książka p. t. „Ziemia i jej mieszkańcy“ zaleca się tak bogatą treścią, jak i przystępnością wykładu. Młodzież wiele pożytku zaczerpnąć z niej może, tém istotniejszego, że dziełko to opracowane jest ze źródeł dobrych i poprawnych. Drzeworytów w niem dużo, a wydanie staranne, jak i poprzednio wymienionych książek.

W dalszym ciągu Seryi liliowej wydał pan Hösick, w przekładzie p. Zofii Grabowskiej, dwie książeczki p. t. „Mali mężczyźni“ i „Ernest Elton.“ Pierwsza, przeznaczona dla dzieci starszych, budzi wiele zajęcia opowiadaniem mnóstwa wydarzeń ze świata dziecięcego, prawie zawsze ciekawych, czasem komicznych, a przytém nauczających. „Ernest Elton“ jest dziełkiem dla dzieci małych, jak to wskazuje sposób opowiadania i sam druk książki, pismem większym, dla dzieciennego wzroku dostępnejszym. Na przeznaczenie to jednak dziełka, a raczej na rację bytu jego polskiego przekładu w żaden sposób zgodzić się nie możemy. Dzieci które dopiero co czytać się nauczyły, powinny kształcić się tylko na opowieściach uwzględniających obyczaje i zwyczaje krajowe. Nie pojmujemy, dlaczego nasze działki miały się uczyć życia w otoczeniu Anglików i wśród atmosfery, która dla nich nazawsze obcą pozostać musi. Byłby to gruby błąd pedagogiczny, którym też w naszym przekonaniu jest „Ernest Elton“ w polskim przekładzie. Wszak można było tę książeczkę spolszczyć w taki sposób, aby rzecz przenieść na grunt i w sferę miejscową; byłoby to jedynie właściwem opracowaniem jej dla naszych dzieci. Samo tłumaczenie żywcem, z zachowaniem wszystkich cech angielszczyzny, zamierzonego celu osiągnąć nie może.

Wskrzyszony na gruzach dawnego Opiekuna domowego, „Tygodnik powszechny“ ogłosił niedawno swój prospekt. Tyle w nim rubryk i świetnych obietnic, a taki ogrom materiału do obrabiania, że jeśli redakcyja, przy szczupłych stosunkowo ramach swego pisma, pomieścić potrafi choć połowę zapowiadanych 26-ciu działów, to zaprawdę większego dokaże cudu, niż owo ewangeliczne przejście wielbłąda przez ucho igliczne.

Witamy nowego towarzysza na ciernistej drodze dziennikarskiej, współpracownika pokrewnego nam treścią, formą zewnętrzną, a nawet tytułem — i niech mu pochod po stromych ścieżkach redakcyjnych będzie lekkim.

Niestudnie jednak „Tygodnik Powszechny“ powiada w prospekcie, że „będzie pismem stosunkowo najtańszem.“ Jeśli Tygodnik Ilustrowany daje 2½ arkusza większego formatu za rs. 8 rocznie, to „Tygodnik Powszechny,“ dając 2 arkusze mniejsze za rs. 7 kop. 20, jest przynajmniej o jedną czwartą część droższy. A cóż dopiero mówić o „Biesiadzie literackiej,“ która za 2½ arkusza (wprawdzie mniejszego znacznie formatu) bierze tylko rs. 4!...

Skromniej daleko, a więc przyjemniej, przedstawia się prospekt na nowe pismo codzienne p. t. „Echo,“ które także wychodzić zacznie od 1 stycznia 1877 r., nakładem i pod redakcją znanego komedyopisarza, p. Zygmunta Sarneckiego. Pismo to, oprócz zwięzłego przedstawiania wydarzeń po-

lityki zagranicznej, zajmować się będzie także sprawami społecznymi i ekonomicznymi; roztrząsaniem kwestyj prawnych i sądowych, z zastosowaniem do nowowprowadzonych ustaw; nakoniec nauką, literaturą, rolnictwem, handlem i t. p., nie zaniedbując przytém i rzeczy lżejszej natury.

Oto w ogólnych wyrazach skróślony program „Echa.“ Niema w nim wprawdzie nic wybitnego, ani nowego; trudno jednak zaprzeczyć, że dobrze wykonany, może on stać się dla ogółu pożytecznym. Zdolność głównego redaktora staje się tego poniekąd rękojmią.

Prenumerata roczna „Echa“ wynosi w Warszawie rs. 6, na prowincyi rs. 8. Jaka będzie objętość jego, prospekt bliżej nie objaśnia.

Książd Józef Gacki, cichy a sumienny pracownik na niwie dziejów ojczyźnych, zmarł przed kilku dniami w Jedlni, w gubernii radomskiej, gdzie był przez lat kilkadziesiąt proboszczem. Obszerniejszy życiorys tego zacnego kapłana i człowieka wkrótce zapewne czytelnikom naszym podamy.

Z a g r a n i c z n a.

W dniu 26 b. m. zmarł w Krakowie Fryderyk Kazmirz Skobel, profesor uniwersytetu i członek akademii umiejętności, wysoko zasłużony pracownik na niwie medycyny.

S. p. Skobel pisał i wydawał wiele, a prace jego poważne, dobro nauki i społeczeństwa na celu mające, czyniły go przedmiotem ogólnego poważania. Najszerszą popularność przyniosły mu rozprawy „O skażeniu języka polskiego,“ w których energicznie bronił mowy naszej od naleciałości obcych i zepsucia, w codziennem używaniu i w druku.

Portret i życiorys nieboszczyka czytelnicy nasi wkrótce ujrzą w Tygodniku; w tej chwili krótką tę wzmiankę kończymy serdecznemi słowy żalu nad świeżą mogiłą człowieka, którego życie całe było pełnieniem rozumnie i szlachetnie pojętych obowiązków.

Wyniki wyprawy parowców *Alert i Discovery*, wysłanych, jak wiadomo, pod wodzą kapitana Nares, w celu dotarcia do bieguna północnego, lecz które wróciły do Anglii w ostatnich dniach października, po osiemnasto-miesięcznej walce z lodami, bez osiągnięcia tego celu, dają się streścić w kilku słowach. Oddział wysłany od zimujących pod 82° szer. półn. statków dotarł saniami do 83° 20' 26" szerokości, a więc o jeden stopień i cztery minuty po za najdalszy punkt, widziany przez ekspedycyę amerykańską *Polaris* i o mil morskich 70 od najdalej na północ wysuniętego wybrzeża Grenlandyi. Podróż ta odbywała się po lodzie tak niesłychanie chropowatym, że dziennie ledwo milę angielską przebywać zdołano, a trzy czwarte ludzi, wlokących sanie, na skorbut zachorowało. Skorupa lodu, mająca 80 stóp grubości, pokrywa morze polarne nieprzerwanem pasmem, z czego kapitan Nares wnosi, że żadna wyprawa, w lodziach lub saniami, nie dosięże bieguna i że punktu tego nigdy ludzkie nie ujrzą oczy. Według jego sprawozdania i morze otwarte, i wyspy zwane *President land*, mające leżeć na północ od Grenlandyi, istnieją tylko w wyobraźni geografów, patrzących na kwestyę biegunową przez różowe szkło naukowego zapału.

Ogólnie mówiąc, wyprawa ta wróciła z obfitym zasobem negatywnych niż pozytywnych wiadomości, i dowiodła że ciekawość i hart ludzki nie mogą zwalczyć podbiegunowej przyrody, po za granicami znanych ludów. Chociaż jednak zdobycze jej geograficzne ograniczają się na tej wiadomości, przywiozła ona obfite zasoby spostrzeżeń meteorologicznych i magnetycznych, oraz stwierdziła wiadomość o płytkości podbiegunowego oceanu i wznoszeniu się ładu tamtejszego.

Podamy wkrótce czytelnikom naszym szczegółową wiadomość o tej wyprawie, skróśloną przez współpracownika naszego dra Warnkę, profesora

geografii przy instytucie technicznym w Lipsku, i ozdobioną licznemi drzeworytami.

Przegląd polityki zagranicznej.

1 grudnia.

Misya lorda Salisbury widocznie nie powiodła się w Berlinie. Dziennik „Daily Telegraph“ podał w tej mierze sprawozdanie, rzucające jasne światło na stanowisko Niemiec w sprawie wschodniej. Niemcy, powiedział podobno p. Bismarck, poprzec mogą pokojowe usiłowania Anglii; gdyby wszelako wojna wybuchnąć miała, zachowają ścisłą neutralność. Według „D. Telegraph“, kanclerz niebardzo wierzy w pokojowe rezultaty konferencyj. W podobny sposób oświadczyć się miano o stanowisku Niemiec i w Wiedniu, a włoskie dzienniki zapewniają, że rząd ich postanowił poprzec żądania Rossyi na konferencyach. Co do Francyi, państwo to postanowiło odegrać bierną tylko w bieżących zatargach rolę.

Ostatnią, że tak powiemy, stacyą, w podróży p. Salisbury jest Konstantynopol. Margrabia, zaraz po przybyciu do Stambułu, otrzymał ma posłuchanie u sułtana, a posłuchanie to wpłynąć może stanowczo na przechylenie się szali w tę, lub ową stronę.

Dzienniki berlińskie donoszą, że zamknięcie parlamentu niemieckiego nastąpi w połowie grudnia, że zaś około tego czasu zebrać się mają konferencye w Stambule, więc kanclerz Bismarck skorzysta ze sposobności i uwydatni stanowisko rządu niemieckiego. Prawdopodobnie kanclerz niewiele więcej powie nad to, co już lordowi Salisbury oznajmił w rozmowie, to jest że Niemcy trzymać się będą systemu neutralności, dopóki ich interesa naruszone nie zostaną. Niektóre dzienniki idą dalej jeszcze, twierdzą bowiem że p. Bismarck oświadczy w izbie, że rząd niemiecki nie przywiązuje żadnej wagi do utrzymania panowania tureckiego w Europie i że wolałby doczekać się na półwyspie bałkańskim utworzenia takiego porządku rzeczy, któryby zapewnił Europie trwały pokój.

Znany publicysta angielski, Tomasz Carlyle, wystąpił w dziennikach z rozprawą, w której otwarcie radzi swemu rządowi, aby unikał wojny z Rossyą, a odwołał się do sądu polubownego ks. Bismarcka. W odpowiedzi na to N. Allg. Ztg., uchodząca za organ Bismarcka, oświadcza, że wyrok polubowny wtedy tylko mógłby być skutecznym, gdyby Anglia, Rossya i Austria porozumiały się uprzednio w przedmiocie wykonania wyroku, jeżeli zaś mogą się porozumieć, to wyrok staje się zbytecznym.

W Ionie rządu wersalskiego wybuchły rozterki i niezgody, grożące nawet przesileniem ministeryalnem. O ile dotąd wiadomo z dzienników francuzkich, Izba deputowanych stanowczo jest przeciwną przesowi rady ministrów p. Dufaure'owi, który podobno chce podać się do uwolnienia. Ostatniem dotąd słowem w tej sprawie jest telegram paryzki, z d. 20 listopada, donoszący że Dufaure poda się do dymisyi, lecz dopiero po uchwaleniu budżetu, i że nawet lewica stara się zapobiedz przesileniu.

OSTATNIE TELEGRAMY. *Pera, 29 listopada.* Wybuchło przesilenie gabinetowe. Wielki wezyr nie chce zgodzić się na projekt konstytucyi, ułożonej przez Midata, i odwołał się do uchwały sultańskiej.

Belgrad, 29 listopada. Część rezerwy klasy trzeciej powołano pod chorągiew i wysłano nad Drynę. Rezerwa uzbrojoną zostanie w karabiny odcylkowe. Robotnicy niemieccy w arsenale w Kragujevacu porzucili robotę i popierani są przez generalnego konsula Niemiec.

Petersburg, 29 listopada. Goniec urzędowy zamieścił Najwyższe podziękowanie kupiectwu petersburskiemu, które prosiło o decyzyę co do podwojenia opłat kupieckich na rok lub pięć lat, na wypadek wojny.

(Ind. Bel. Sch. Ztg. Jour. des Deb. Nord. Times).



Wyjazd „króla jednozimowego“ (Rudolfa V) z Pragi rzeskiej w r. 1620. Kopia obrazu Fabera du Faur.

„KRÓL JEDNOZIMOWY.“

Przydomek ten szyderycy nadany został królowi czeskiemu Fryderykowi V, byłemu elektorowi Palatynatu, który objął rząd 4 listopada 1619 r., w niespełna rok później, po bitwie pod Białą Górą, uciekł z Pragi przed osaczającym stolicę wojskiem cesarskim, a więc panował przez jedną tylko zimę.

Smutne wspomnienia wiążą się z pamięcią tego władcy. Obrany królem przez Stany, zawiódł oczekiwania narodu i lekkomyślnością swoją spowodował upadek polityczny Czech, z którego za ledwo we 200 lat później choć w części dźwignąć się zdołały.

Po nieszczęśliwej walce pod Białą Górą (8 listopada 1620 r.), w której wodzowie Fryderyka V, księżęta Anhalt, Hohenlohe i hr. Thurn, na głowę pobici zostali przez wojska cesarza niemieckiego Ferdynanda II, pod dowództwem księcia Maksymiliana bawarskiego, Tilly'ego i Boucquoi—strasliwa w Czechach rozpoczęła się reakcja. Stracono 27-iu najznakomitszych patriotów czeskich, tych zaś, którzy zbiedz potrafiliby za granicę, powieszono w wizerunkach. Pisarz miejski, Mikołaj Diwis, stał pod szubienicą, mając język szydłem do niej przybity. Wszystkim obwinionym skonfiskowano majątki, wartości przeszło 24,000,000 kóp groszy praskich. Cesarz postanowił wytepić protestantyzm i narodowość w ziemi czeskiej. Po wsiach i miastach rozsyłano wojsko, aby paliło książki czeskie, jako podejrzone o kacerstwo. Około 36,000 rodzin czeskich, między którymi przeszło 1,000 szlacheckich i magnackich, emigrowało z kraju. Język miejscowy zastąpiono łaciną i niemiecką, i zgasło na dwa stulecia życie umysłowe Czechów...

Ale dzielna i żywotna ich narodowość, stłumiona tylko na długo, lecz nie zabita, w trzecim już dziesiątku lat bieżącego wieku poczęła dopominać się praw swoich najświętszych, nieulegających nigdy przedawnieniu. Gorliwe usiłowania kilku zacnych patriotów i wytrwała działalność towarzysztwa „Maticy czeskiej“ przeniknęły powoli do najniższych nawet warstw narodu, i dziś wydawane po czesku książki, różnej treści, w ogromnej ilości rozchodzą się między ludem miejskim i wiejskim, a język rodzimy nie tylko brzmi w ustach wszystkich, lecz zajął także należne sobie miejsce w urzędzie i szkole.

Powróćmy jednak do treści naszej ryciny. Wiadomość o przegranej bitwie zastała Fryderyka biesiadującego w zamku swym królewskim. Zamiast oszańcować się w obronnej Pradze i zebrawszy resztę wojska, a korzystając z głośno objawianego zapału całej ludności, stoczyć bój nowy w sprawie jeszcze niestrawionej—prerażony Fryderyk poddał stolicę nieprzyjacielowi, a sam z małżonką i dzieckiem, przez Wrocław i Berlin, uciekł do Niderlandów z takim pośpiechem, że pozostawił nawet wrogom najważniejsze papiery i koronę św. Wacława.

Pamiętny ten epizod z dziejów czeskich obrał sobie utalentowany malarz monachijski, p. Faber du Faur, za treść pełnego życia obrazu, którego tu wierną podobiznę zamieszczamy.

WYSTAWA

Towarzystwa zachęty sztuk pięknych

Pierwsze na dzisiejszej wystawie miejsce należy się p. Gersonowi. Za pośrednictwem dzieła swego wprowadza nas ten artysta w świat, gdzie podobnie jak szczyty gór w krajobrazach alpejskich, występują przed nami wychodzące ponad poziom postacie danego historycznego widokrengu... Sfera to wzniosła, ożywcza, krzepiąca; chwila to uroczysta! Do najtrudniejszych zadań artystycznych należy przedstawianie w pewnym stadyum określonej charakterystyki uczonego grona, które daną przewodziło epoce. Artysta, podejmując to zadanie, pozbawionym tu zostaje mnóstwa

środków, mogących mu posłużyć do uświetnienia obrazu; przedstawiając sferę umysłową, musi skupiać swe siły na wewnętrznej raczej treści potęgę, niż na efektywności sceny. Zręczność kompozycyi, ugrupowania jedyną tu jest dowolnością; we wszystkich innym musi być bardzo oględnym, aby kosztem strony intelektualnej nie uwydatnić mocnymi rysami i barwy strony zewnętrznej, dekoracyjnej. Szczytem mistrzostwa w tego rodzaju zadaniach pozostaje dotąd „Szkoła ateńska“ Rafaela. Świetność i skończoność kompozycyi, łączy się tam ze stroną duchową. Po za tym nie coby uderzało czémkolwiek krzykliwym i psuło powagę uroczystego zgrupowania myślicieli... Jedynym tam przepychem zewnętrznym jest przepych architektoniki, wdzięk sklepień i pilastrów, świetnie harmonizujący z treścią postaci, inteligencją świata przedstawiających.

Oto sfera duchowa, którą p. Gerson wziął za tło w swoim obrazie, przedstawiającym Kopernika pośród uczonych, artystów i duchownych swego czasu. Zadanie śmiałe i trudne, na wysokości którego wogóle zwycięzko się utrzymał. Kompozycyja i charakterystyka figur, pomimo ich tłumności, odznacza się swobodą; figury te wszakże nie przeszkadzają jedna drugiej. Każda z nich zajęta jest swoją myślą, swoją krytyką przedmiotu, który wygłasza Kopernik; wrażenie każdej inaczej się uwydatnia, a mimo to niema tam rozstrzelenia, ani chaotyczności. W ogólnym natężeniu myśli tego grona znać wszędzie wpływ słowa... Zdaje się ono dźwięczyć w powietrzu, pochyla, przyciąga widocznie ku głównej postaci surowy, półgniewny, półdumiony arcopag. Srogość, bystrość, finezyja, dadzą się wyczytać na tej twarzy, jakoby skupiającej w sobie wszystkie niebezpieczeństwa charakteru Borgiów... Twarz ta, doskonale świadectwo duszy, jakkolwiek usmiechnięta, obléwa patrzącego chłodem. Znać ze słów Kopernika słucha człowiek, od woli którego wszystko tu zależy, i uznanie, i pochwała, i nagana, i zachęta, i groźba, a może—śmierć. Okazał się tu artysta myślącym psychologiem. Cała postać Aleksandra VI, niedbale choć nie bez powagi przechylona na fotelu, jest to świetne studium psychiczne. Widzisz tam we wszystkich ruchach poczucie potęgi, którą rozporządza, widzisz wyraz dobitny wyższości, ale nie wyższości moralnej, lecz tej którą się posiada jako owoc przebiegłości i dziedzicznej władzy. Zdaje się on słuchać Kopernika, ale bynajmniej nie dlatego, aby go żywo przedmiot odkrycia zajmował, lecz jedynie w celu wymiarkowania, o ile odkrycie to pomoże lub zaszkodzi jego powadze i znaczeniu.

Obok tej barwnej postaci bezbarwnego pozornie starca, lśni się żółtym przybrana atłasem figura drugiego Borgii—Cezara. I w nim widzisz ślad jego treści duchowej. Słucha i on uczonego, lecz więcej zdaje się go obchodzić wpływ jego na zgromadzenie, niż przedmiot rozprawy. Znać że ta sfera i otoczenie nie dla niego; znać że mu jest jakby narzuconą. I rzeczywiście, człowiek, co tyle po sobie okropności zostawił, nie mógł posiadać szczytów do nauki zamilowania.

Figura Buonarottiego, którą nieco dalej, także siedzącą, spostrzegamy, pełna wyrazu i siły. Wielki mistrz utkwilił oczy w głoszącego śmiało słowo nauki młodzieńca, jakby pragnął z rysów jego wyczytać, czy młodzieńiec ten nie powinien mu posłużyć za jeden z przedmiotów w dziełach które tworzy. Badawczość i siła, powaga i energia przebijają z twarzy Buonarottiego.

Mniej daleko posiada w obrazie tym znaczenia twarz Leonarda da Vinci, którą widać tylko z po za innych.

Do charakterystyczniejszych postaci należą jeszcze: Kardynał Bembo, owa świetna, kochająca, piękna dusza. Stoi on pośród innych, dalej zgrupowanych osób i wyrazem duchowym, w fizyognomii jego rozlanym, mocno się z pośród nich wyróżnia. Uczciwa badawczość, chęć zgłębienia wyczytać się daje w jego rysach, określonych, silnie zarysowanych, w całej jego figurze wymownej, techną otwartością. Niepodobna też pominąć w liczbie staranniejszych figur tej kompozycyi Fra-Castora. Trudno wiedzieć, czy arty-

sta rysował tę postać podług portretu; w każdym atoli razie przyczynia się ona niemało do zaokrąglenia i urozmaicenia kompozycyi. Ciężka, o kształtach i rysach obwisłych, leniwa i niechętna, ma jednak w sobie coś niezwykłego i żywotnego. Umieć w tak niewdzięczną figurę wlać iskry wyższego życia, jest prawdziwym tryumfem artysty.

Niektóre inne postacie piszą, notują, rozpatrują papiery, stanowiąc dopełnienie, które każdy większy obraz posiadać musi.

Z powyższych figur możecie powziąć wyobrażenie o całej kompozycyi. Osoby te, w poważnej sali zgromadzone, stanowią audytorium, które ma osądzić odkrycia Kopernika, głoszone przez niego w młodych jeszcze latach; artysta bowiem dozwolił sobie licencyjnie przeniesienia tych odkryć w epokę o jakie 40 lat wcześniejszą. Jedni siedzą, drudzy stoją; jedni słuchają, inni rozprawiają; niektórzy żywego doznają wrażenia; słowem cała ta grupa żyje i odczuwa, zebrana przed pulpitem Kopernika. A sam Kopernik? zapytacie. O nim właśnie najmniej się daje powiedzieć. Przed trzema laty, gdy obraz ten był na kartonie, Kopernik zapowiadał się bardzo wdzięcznie, postać jego wydawała się pełną zapału i ognia. Wszystko na obrazie wówczas było materiałem, mającym być obróbnym ostatecznie; nie było barw; nie znać było w figurach, nakreślonych sepią, tych żywych rysów, tych charakterów, które na jaw wywiodły koloryt i obróbnienie. Wówczas, nie wiedząc, do jakiego stopnia posunie się wybitność charakterów, nie dostrzegało się mocnej sprzeczności pomiędzy wyrazistością psychiczną audytorium, a główną osobą obrazu—Kopernikiem. Dziś, po wykończeniu i ukolorowaniu, różnica ta wystąpiła mocno. O ile zyskali w obróbnieniu słuchacze, o tyle stracił Kopernik; pomimo bowiem że i oni, więzi wogóle, nie doznają bardzo silnego wzruszenia, więcej w nich daleko gry życia, gry uczuć, słowem więcej barwności, niż w głównym działaczem całej sceny. Stoi on wdzięcznie i szlachetnie, niema w nim jednak ani śladu natężenia psychicznego, któremu ulega każdy, co pragnie innych o czémkolwiek przekonać. Przedmiot to wprawdzie do roztrząśnienia trudny, témbardziej że p. Gerson mógłby, nie bez pewnej słuszności, utrzymywać, iż pojmował wielkiego astronoma przedewszystkiem jako pełnego powagi kontemplatora, który wypowiadając swoje prawdy, nie troszczy się *namiętnie* o przelanie ich w dusze słuchaczy; z tém wszystkiem, choćby się zgodzić na to w części, niepodobna przypuszczać, aby najzimniejszy i najskromniejszy nawet uczonego, tak świetnie widząc zgromadzenie, nie usiłował żywiej przemawiać, niż Kopernik p. Gersona. Wypowiada on rzeczy, z powodu których jeden ze słuchaczy *chwytą się aż za głowę*,—tak jakoś pogodnie, jak gdyby to co mówi nie było świętym jego przekonaniem. Wdzięczna, pięknie narysowana i namalowana postać Kopernika wygląda raczej na przyjemnego mówcę, usiłującego rozchmurzyć zgromadzenie. Rysy Kopernika nie mają tej siły, jaką nadaje w pewnych chwilach twarzom nawet najprozaiczniejszym apostołom nową myśl. Nie jest to podniosła chwila, epizod walki za ideę, lecz spokojna rozprawa.

Ten to, głównie *psychiczny*, zarzut nasuwa się nam wobec wspaniałego obrazu p. Gersona. Dzieło to pod każdym względem sięga ponad poziom. To też gdyby sam Kopernik, jako figura główna, wykonany był tak świetnie, jak n. p. Aleksander VI, byłoby to prawdziwe arcydzieło. Mimo to i dzisiaj obraz p. Gersona może być ozdobą każdej galeryi, każdego pałacu. Nie odchodzi się z przed niego bez wrażenia, a chociaż się pożąda czegoś żywszego w tej kompozycyi, porównaniu jednak, patrzący ustępuje z tego żądania wiele, pomyślawszy o spokoju i powadze, które bywają nieodłączną właściwością dysput naukowych, a témbardziej wobec najwyższych dostojników świata.

O rysunku i kolorycie za ledwie potrzebujemy wspominać, bo jeżeli obraz ten przedstawia pod tym względem pewne różnice w porównaniu

z innymi płótnami Gersona, to chyba tylko na swoją korzyść. Biorąc miarę z figury Aleksandra VI, o którym rozpisaliśmy się nieco szczegółowiej, a którego rysunek zarzutów nie przedstawia, odznaczając się owszem wielkimi przymiotami artystycznego doświadczenia, może czytelnik nabrać pojęcia i o reszcie figur, z których kilka zwraca na się uwagę pokonaniem w nich wielu technicznych trudności. Rysunek p. Gersona, nie celując śmiałością i siłą, nie jest jednak niepewnym lub powierzchownym; przeciwnie, z warunkami ścisłego rysunku liczy się ten artysta tak sumiennie, że w puryzm niekiedy pod tym względem wpada, pragnąc uwydatnić linie ciała, choćby najsutszą draperią osłonięte.

Obraz o którym mowa i pod względem kolorytu różni się bardzo od dotychczasowych głównych dzieł p. Gersona. Jeżeli bowiem dotąd artysta ten w rysunku był zawsze zdecydowanym, to koloryt jego często mglistymi odstręczał tonami. W tym obrazie, przeciwnie, znajdziesz nie tylko wszystkie kolory dobrane podług praw zasadniczych, lecz i tony z natężeniem silnym, chociaż kolory szkarłatne występują gdzieś zbytek jaskrawo.

W każdym razie obraz ten dowodzi, że w ręce kilku naszych lepszych malarzy posiadamy w p. Gersonie artystę, który, jeżeli w ujęciu treści niezawsze do wysokości swoich nawet własnych dochodzi intensywności, nigdy przecież przedmiotu do poziomu nie zniży. Kto wie nawet, czy mógłby kto wyrównać p. Gersonowi w poważnych apoteozach, w alegoriach historycznych, słowem w tego rodzaju obrazach, gdzie artysta powołany zostaje do streszczenia pewnej epoki, pewnej ogólnej prawdy dziejowej, co bywa najczęściej przedmiotem fresków po gmachach pamiątkowych. Jeżeli w atworach swoich trudno p. Gersonowi wtajemniczyć się w żywy, uderzający siłą charakter przedstawionych osób, to nikt lepiej od niego uporać się nie potrafi z zadaniem, którego tłem jest oderwanie i kontemplacja.

Pan *Głębocki*, który od niejakiego czasu znaczne poczynił postępy w sztuce, szczególnie pod względem kolorytu, wystąpił niedawno z obrazem historycznym. Znajdując się przed obozowym tronem greckiego cesarza Maurycego, przed oblicze którego przyprowadzono jako jeńców trzech gęślarzy słowiańskich, nieokazujących bynajmniej, aby groźny ten majestat zbyt wielkie na nich czynił wrażenie, pomimo że straż trzyma ich, jak charty, na smyczy. Przeciwnie, jeden z tych prostaczków ma w wyrazie twarzy coś nawet bardzo szyderskiego, a wszyscy, w prostaczek swoich siermięgach, z naiwną śmiałością spoglądają wprost w oczy potentata. Ta scena jest głównym obrazem przedmiotem. Inne figury przedstawiają przybojnych dygnitarzy lub wojowników. Obfite i bogate zasłony okalają tę scenę, która byłaby, jak i sam pomysł, istotnie oryginalną, gdyby obraz ten styl jakikolwiek posiadał. Brak wydatniejszych zasad w pojmowaniu piękna ujawnia się szczególnie w rysunku. Kontury we wszystkich figurach są tak słabe, że ich gdzieś doszukać się nawet niepodobna. Brak n. p. dobrego rysunku i konturów uderza najwięcej w jednym z trzech gęślarzy, z prawej (od widza) strony obrazu, w niższej połowie twarzy, którego niema linii najkonieczniejszych; dalej skrepowana jego ręka muskulaturę posiada niedostateczną, a nogi, od kolan do stóp, namalowane kilkoma pociągnięciami pensla, na chybił trafił. Lepsza jest znacznie grupa, posród której siedzi Mauryceusz, purpurową przysłonięty szatą. Wreszcie niepodobna bez wielkiego niesmaku spojrzeć na jednego ze strażników, usiłującego powstrzymać na smyczy psy, które chcą się rzucić na biednych gęślarzy. W tej małej grupie malowanie znowu (szczególniej w psach) dziwnie jest zaniedbane, chociaż rysunek nieco lepszy. Jeśli się na to wszystko spojrzy z oddalenia, całość pewne sprawia wrażenie, pomysł bowiem i ogólny koloryt posiada zalety niezaprzeczone. Tego jednak zamało, aby dzieło malarskie, przy dzisiejszym zwłaszcza rozwoju techniki, trwalsze zyskać mogło uznanie. Po pewnym przeciągu cza-

su sam artysta dziwić się będzie, że mógł wypuścić na świat rzecz tak szczęśliwie pomyslaną, a wykonaną tak niedbale.

Na tém kończy się skromna liczba historycznych obrazów, które się znalazły na wystawie w drugim bieżącym półroczu.

Przenosimy się w kraj słońca i pogody, w kraj „gdzie pomarańcze kwitną,“ gdzie uśmiech natury zawsze prawie towarzyszy uśmiechowi miłości, w kraj Dantego, Petrarcki i Tassa, w kraj kędy trzydziestu wieków kultura tysiącem przemawia pomników...

W takim tylko kraju można powziąć pomysł, z którego wykwitł ostatni znany u nas obraz *Siemiradzkiego* p. t. „Elegia“ i taki tylko jak on artysta pomysł podobny godnie wykonać jest zdolny.

Jesteście nad brzegiem jeziora, pod skąpym cieniem drzew kilku. Przed wami, miłosnym złączeni porozumieniem, upojeni rozkoszą i blaskiem słońca, starożytny Rzymianin i jego wybrana. Przyszli widać do tego ustronia, aby swobodnie poić się życiem i miłością; ona urocza, pociągająca, wiosenna, marząca, a on... syn italskiego nieba. I oto następuje chwila, kiedy w słodkim *far niente*, oczy miłosnej pary, odwrócone od siebie, padły na otaczające przedmioty... Tu węzeł sceny obrazu i pomysłu. Oczy zakochanych padły na biały marmurowy pomnik, na ciche mauzoleum grobowe. Więćsliczna twarz kobiety przybiera wyraz melancholii, a szczęśliwy kochanek, wobec marmurowego *memento*, jakby bojąc się utracić skarb swój, nie puszcza jej ręki i z miną sybaryty patrzy w śnieżne ściany marmuru, ległszy rozkosznie na złomie kamiennym i oparłszy głowę o kolano stojącej nad nim bogini...

Właściwością jest mistrzów wogóle, że w jakiejkolwiek dziedzinie rzeczy nadobnych wielkie stwarzają dzieła, pomimo prostoty pomysłów. Tak np. Göthe z dawniej legendy wysnuł poemat wszechludzki, w którym o najwyższe zadania społeczne potrafił. Tak Mickiewicz spożytkował „Dziady.“ Rafael dosięgnął szczytu prostotą swojej Madonny Sykstyńskiej. Słowem, często w sztuce przedmiot, podźwignięty bogactwem zasobów duchowych artysty, w najwykleszych nawet szczegółach nabiera tej wytworności estetycznej, która niby nowe światło, nowe zjawisko, niby miłość co „tworzy cuda“ podziwiać się każe.

Wprawdzie obecne dzieło p. Siemiradzkiego nie dochodzi miary tego mistrzostwa, jakiego już nieraz dawał nam dowody; w każdym jednak razie i tu prostota pomysłu wyrosła, pod świetnym penslem mistrza, do wysokości pełnej czaru kreacji.

Spojrzyjcie na tego rozmarzonego syna Italii. Artysta nie chciał go mieć *konwencyonalnym gołąbkim miłości*. Nie, to człowiek nieznaający finezyi miłostek średniowiecznych; wie on że jego ukochana nie potrzebuje już zapewnień o miłości, i tylko widok grobowych marmurów budzi w niej melancholijne spojrzenie, chociaż nie odejmuje mu bynajmniej ani swobody, ani poczucia rozkoszy, którą go wszystko upaja — i kochanka stojąca nad nim, i ziemia, i powietrze, i cały ten przepych jaśniejącego słońca... Rozkosznik ten starożytny, niedbale draperią osłonięty, nosi na sobie cechy, z jakimi przedstawia nam historia młodzież rzymską. Jasnym oplecioną włosem twarz jego ukochanej, jej postać melancholijna, przyjemna, pociągająca, nieco rozżalona, ale szczęśliwa, bo trzyma za rękę tulącego się u nóg jej młodzieńca, jest to niby posąg, tętnący wiosną i smutkiem. I ona patrzy także w białe złomy mauzoleum, i ją dreszcz jakiś przenika, widać na wspomnienie znikomości rzeczy ziemskich. Zręcznie udrapowana biała szata silniej jeszcze uwydatnia wdzięk jej postaci...

Wszystko to czytać możecie w obu tych figurach. Jeżeli teraz dodamy, że narysowane są z dziwną linią czystością, świetnie odpowiadającą typowemu pojęciu, jakie tworzymy sobie ostronie

nadobnej postaci starożytnych, jeżeli przytém weźmiemy na uwagę tę uroczą pociągłość form artystycznych, które artysta zachować umiał, pomimo narzucenia na obie figury silnej barwy, właściwej wszystkim południowcom, domyślicie się wtedy, czemu te postacie, składając się na pełną prostoty kompozycją, zmuszają do przyglądania się im z prawdziwą przyjemnością

Ale prócz figur i mnóstwo innych szczegółów w tym obrazie pociąga do siebie, samą nowością i precyzją wykonania. Prosty, jak powiedzieliśmy, pomysł złamałby siły mniej dzielnego artysty. Wprowadzenie na scenę gry światła słonecznego skomplikowało niesłychanie rzeczy najwyklesze. Na przykład choćby wziąć tylko pomnik. Część ścian jego przejrzysty półcień, od drzew padający, pokrywa, gdy druga część kapie się w blasku słońca. Co za gra światła, co za złudzenie, co za kolory i co za lekkość cienia! Wykonanie tu prawdziwie mistrzowskie. W ogólności świetny tego obrazu koloryt ma w sobie coś jakby tęczowe odbłyśki, jakby igranie światła po niewidzialnych szklistych atomach marmurów i wielkich głazów, z których zrobione są stare schody, wiodące pod górę nad brzegiem przepaści, ocembrowanej od strony jeziora takiemiż złomami. Koloryt ten tęczowy natychmiast sobie tłumaczysz; widzisz że marmury, po których codziennie takie jak dzisiaj słońce się przesuwają, nabierać muszą z czasem jakiegoś słoneczności śladu, skoro pod naszym nawet słońcem szkła kawałek, na polu zostawiony, tęczowych nabiera odbłyśków.

Wreszcie i roślinność tego obrazu, charakterystyczna, choć skąpa, pozbawiona jest tego odcienia świeżej zieloności, który pod naszym łagodniejszym słońcem znajdujemy. Tam wątlých i delikatnych listków nie dostrzeżesz; widzisz wyszane żarem trawy i energiczne łodygi roślin, które rosną u stóp drzewa, lub pień jego okręcają.

Słowem, po takim szczegółowym rozpatrzeniu się w tém płótnie, do czego zmuszają jego piękności, ogólne i ostateczne wrażenie nie przechylili się ku rozczarowaniu, jak się to zdarza niekiedy. Owszem, odchodząc od tej świetlanej produkcji mistrzowskiego pensla, pragniesz spojrzeć jeszcze i jeszcze na tę perłę, jaśniejącą barwami nieba Italii, i na tę elegię, która tyle dum słodkich nasuwa; na te postacie, przypominające ci wspaniałe uśmiechy szczęścia, w tak urocze barwy ujęte; na tę wreszcie oryginalność i czystość kolorytu i rysunku, pod względem którego jedna tylko prawa ręka kobiety, cała obnażona od ramienia, wydaje się nam zamało obrobioną. Przedstawia się ona trochę płasko i nie ma wdzięku, jak i konieczne piękna kobieta, choćby słońcem południowym opalona, posiadać musi.

Zaczawszy od obrazu Siemiradzkiego, spojrzyszmy na kilka innych tego samego zakroju, w których, podobnie jak i w powyższym, jednoczą się dwa działy: rodzajowy z krajobrazowym. Ten nawet kierunek coraz obficie bywa reprezentowanym. Zdolniejsi nasi artyści pragnęliby skorzystać zarówno z darów samej natury, jak i z życia, którego przedstawicielem jest człowiek, w najróżnorodniejszych objawach.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Od redakcyi.

Z powodu konieczności ukończenia w roku bieżącym **wszystkich bez wyjątku** prac w Tygodniku naszym porozpoczynanych, zmuszeni jesteśmy dział artykułów naukowych na kilka tygodni zawiesić. Zaraz jednak po Nowym roku 1877 nanowo go rozpoczniemy.

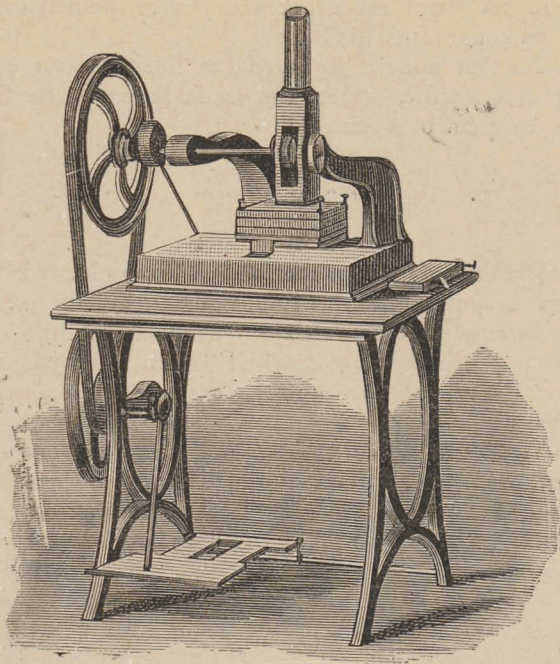
KORRESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Wilno, w listopadzie.

Pocziwe nasze miasto, to obraz chrześcijańskiej miłości, to wzór pokory i poświęcenia. Ono nie tylko że dzieli się z bratem-Żydem zdobytym w pocie czoła chlebem, lecz ustępuje mu we wszystkim, poświęca mu przyszłość swych rodzin, oddając w jego ręce wszystko, co tylko pewną przynosi korzyść i otwiera drogę do dobrobytu. Przemysł, ów, jak go ktoś nazwał, „żołądek społecznego organizmu,“ w mieście naszym zostaje wyłącznie pod opieką izraelskiego plemienia.

Wilno tak się przyzwyczało do tego porządku rzeczy, że nie pojmuje nawet, iżby mogło być inaczej, a z pewnym politowaniem patrzy na tego, co się ośmiela wchodzić w zapasy z Żydami, biorąc się do handlu. Bardzo też małą mamy ilość podobnych śmiałków. Chrześcijańskie magazyny prawdziwą są osobliwością w naszym mieście, a takich, którychby firmy przechodziły z ojca na syna, nie mamy prawie wcale. Magazyn zwykle trwa lat kilka, najwyżej kilkanaście, żyjąc przez ten krótki ciąg swego istnienia sztucznym życiem ciągłych pożyczek na ogromne odsetki, i bankrutuje na koniec, pociągając za sobą do upadku kilkanaście rodzin, które mu ostatni grosz swój powierzyły.

I czemuż się to dzieje? Właściciel przecież postępował sumiennie, miał zawsze dobry towar, z prawdziwą finezyą przewidywał wymagania mody i gustu, umieścił swój magazyn przy jednej z głównych ulic, jednym słowem miał wszelkie warunki powodzenia — a pomimo tego zbankrutował z kretelem. Tymczasem sąsiad jego, przygarbiony Żydek, handlując takimże towarem, gromadzi



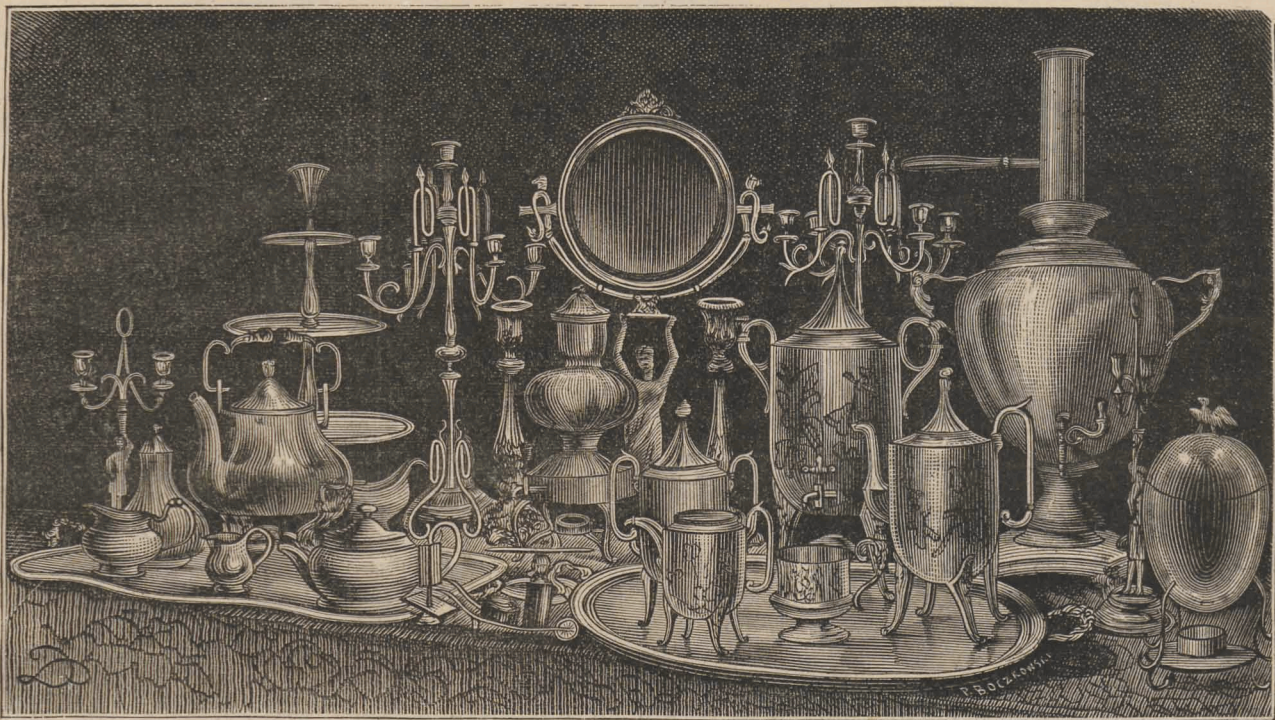
Maszynka pośpieszna do drukowania biletów wizytowych, wyrobu krajowego Jakuba Fajansa. 303

kapitały, zakupuje najdochoźniejsze domy w mieście i kształci z pewnym nakładem swoje dzieci, gotując im świetną przyszłość. Zkąd pochodzi to wieczne szczęście z jednej, a wieczne niepowodzenie z drugiej strony? Dlaczego magazyn Żyda zawsze nabity kupującymi, gdy tymczasem kupiec chrześcijański musi czasami pół dnia czekać na jednego nabywcę? Bo Żyd, zacząwszy handel, sam siedzi od rana do nocy w magazynie, nie nakłada haraczu na kupujących, dla zapłacenia wystrojonych kupczyków; może więc oddać swój towar taniej, a tym samym prędszy ma zbyt. Do Żyda pójdzie każdy, co liczyć się musi z groszem, a ponieważ w biednym naszym mieście takich jest najwięcej, magazyny przeto żydowskie nigdy nie próżnują. Mieszkanie Żyda, to lada ciupa ciasna; żona i dzieci wystarczają sobie sami, obchodzą się bez sług, stroją się w szabas jedynie, jedzą byle przeżyć. Cóż więc dziwnego że kiesa jego tyje z dniem każdym, że Żyd śpi spokojnie, mając zapewnione „jutro“ swojej rodziny? On wprowadzie tak się przemęczy lat kilka, kilkanaście może, lecz czas ten da mu już jaki taki kapitał własny i otworzy drogę do zubożenia się.

Kupiec zato chrześcijański, nim się doczeka

czystego dochodu, zawnazs już życie prowadzi wytworne i zapełnia magazyn najętymi sługusami, którzy pozwalają mu także spać spokojnie, dopóki grom ostatecznego przesilenia nie oznajmi mu, że z włożonych do handlu kapitałów pozostały tylko zera, a jedności ulotniły się bezpowrotnie. Chrześcijański kupiec, sprzedając *en détail*, żyje *en gros*, coż więc dziwnego, że zbyt naciągnięta struna pęka na koniec, jękąwszy bolesnym okrzykiem tych wszystkich, których losy były z nią połączone?

Taka bywa kolęj



Wystawa sreber braci Hennebergów w Warszawie. (Z wystawy przemysłowo-rolniczej w muzeum warszawskim).

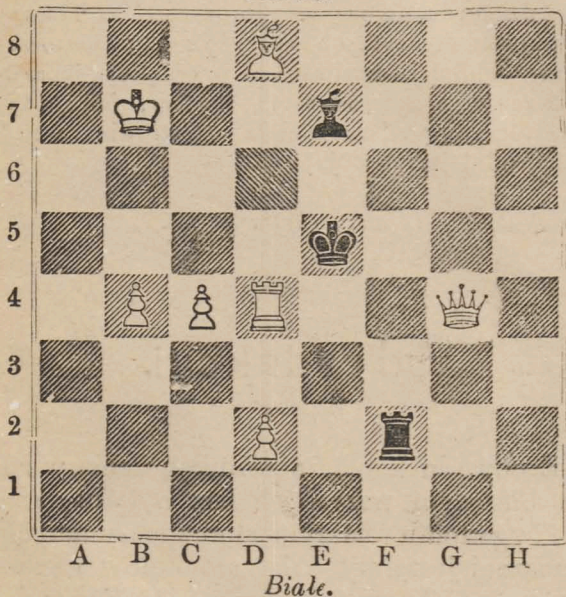
304

SZACHY.

ZADANIE XLII.

Białe zaczynają i dają mata za 2 posunięciami.

Czarne.



Białe.

Rozwiązanie zadania szachowego nr. 41.

Białe.

Czarne.

- 1) F1—A1 1) C2—A1 biorą.
- 2) B3—B4 2) A1—B3.
- 3) C4—D4 † 3) B3—D4 biorą.
- 4) C3—C4 † i mat.

NAKLAD JÓZEFA UNGRA.

Pojedynek szlchetnych,

KOMEDIA W CZTERECH AKTACH

PRZEZ

SEWERA.

Komedia ta, odznaczona zaszczytną nagrodą na konkursie warszawskim w roku bieżącym, chlubnie też ocenioną została w sprawozdaniu komitetu konkursowego. Przedstawienie jej na scenie krakowskiej pozwoliło bardzo korzystnie dla autora ocenić jej zalety krytyce tamtejszej, która podniosła je do znaczenia pierwszorzędnego. Sprawozdanie konkursowe powiada: „Artystyczna wartość tej pracy nie leży w idei, ale w szczegółach, w robocie drobniaków... Logika, konsekwencya i harmonia wszystkich części z całością czynią z niej jedność nieposzlakowaną, o zadaniu skromnym, lecz przeprowadzeniu szczęśliwym.“ Strona literacka tej pięknej pracy posiada zalety niepospolite, i dlatego „Pojedynek szlchetnych“ i w czytaniu nawet samem, niezależnie od przedstawienia scenicznego, zawiera interes dla tych wszystkich, którzy w utworach pióra, prócz gorączkowego zajęcia, szukają także i estetycznych rozkoszy.

Cena kop. 30.

Na prowincyi i w cesarstwie kop. 40.

Adres: Józef Unger, Nowolipki, nr 2406 (nowy 3).

REBUS.

305



Znaczenie rebusa umieszczonego w nr. 48. Z dużiej chmury czasem bywa niewielki deszcz.

większych naszych magazynów; mniejsze zaś, to już czysta klęska wileńskiej publiczności. Zakładane bywają najczęściej przez osoby niemające najmniejszego pojęcia o handlu, a podtrzymują się tylko względami dobrych znajomych, w skutek czego nie mogą mieć wielkiego odbytu. Gdy się więc zdarzy złapać kupującego, obdzierają go bez litości. A w szabas, to już niepodobna zająć nawet do magazynu kolonialnego jakiej pięknej czy brzydkiej pani, każe ci bowiem zapłacić najprzód za sam towar, potem za to żeś u niej kupił, a nakoniec za to że dziś szabas i u Żydów niczego dostać nie można.

Na polu przeto handlowém, przy naszym sybaryckim usposobieniu, nie możemy mierzyć się z Żydami. Rzucamy na ich barki cały ciężar dorobku i cały zysk zarobku, a sobie zostawiamy tylko prawo narzekania na ciężkie czasy i mile marzenia o tém, jakby to dobrze było, gdyby było inaczej! Lecz na to „inaczej“ niech sobie pracuje kto chce; my tylko radziłyśmy z niego skorzystać. U nas, chociaż zrozi się czasami jakaś myśl zdrowsza, to nim urośnie i dojrzeje, zostaje pod wpływem tak nieprzyjaznych warunków, że musi się zwichnąć i skrzywić, aż nakoniec ginie bezowocnie, a jeżeli wyda owoc, to taki cierpko-kwaśny, że samemu jeść go się nie chce, a z ludźmi dzielić się nim niewarto.

Są na świecie, a zatém i w naszym Wilnie, interesa, które raz dobrze postawione, dają, przy pracy, pewny kawalek chleba i niezależne stanowisko. Cóż kiedy i tu nasza staropolska gościnność ustępuje pierwszeństwa Żydom, a sama zbiera tylko okruszyny z ich stołu. Apteki nasze, z małym wyjątkiem, są własnością chrześcian, ale władają nimi, a zatém i korzystają z nich, wyłącznie prawie Żydzi, wszystko to zaś pochodzi z przesadzonej naszej grzeczności. Bo i jakże nazwać podobny postępek, gdy ktoś zdrowy, silny, zdolny do pracy, oddaje swoją aptekę, którą rządził z powodzeniem przez lat kilkanaście, jakiegoś młodemu Żydkowi, bierze od niego zgóry pieniądze za lat kilka i siedzi sam beczynnie, nasycając się dowoli owém *dolce farniente*, które się tak łatwo zagnieżdża u narodów żyjących bez jutra? Zdarza się wprawdzie, że i Żydki odstępują swoje interesa, lecz to w takim razie tylko, gdy mają na widoku coś korzystniejszego, ot chociażby jaką posiadłość w nowo-uorganizowanym zarządzie miejskim, do którego, z pomiędzy kilkunastu pretendentów, na członka obrano Żyda. Nic w tém dziwnego, że oddano pierwszeństwo człowiekowi, zasługującemu na nie w zupełności; ale można było przynajmniej powierzyć mu wydział właściwszy jego wrodzonemu usposobieniu. U nas zaś stało się przeciwnie, bo członek-Żyd stanął na czele wydziału najzupełniej niezgadzanego się z jego naturą, skoro opiece jego powierzono czystość, porządek miasta i wogóle cały wydział estetyczny.

Ze wszystkich jednak stanów najspokojniej i najpokorniej rządzą się u nas lekarze. Kilkunastu między nimi jest biernych, przez starość zubożniętych na wszelkie niedole społeczne; resztę zaś stanowią indywiduala czynne, to jest gotowe odwiedzać chorych od dziesiątej z rana do ósmej wieczorem. Lecz gdy nieszczęsnym trafem ktoś z twoich domowników zasłabnie nie w porę, to jest po ósmej wieczorem, naprózno byś szukał u nich pomocy. Jeżeliś zapomniawszy drogi do klubu, lub niewtajemniczony w kronikę miejskich przyjemności, nie wiesz u kogo dziś wieczór kartowy, żona twoja czy dziecko nieprędko doczekają się pomocy. U drzwi każdego z naszych lekarzy lokaj ci odpowie krótko: „Pan wyjechał“ — i po tém ostatecznym słowie możesz robić z sobą, co ci się podoba. Wówczas, chcąc nie chcąc, jedziesz pukać do drzwi doktora-Żyda, którego zawsze znajdziesz w domu, chyba że cię ktoś szczęśliwszy wyprzedził.

Trudno zapewne wymagać, by lekarz był niewolnikiem i siedział w domu po całych dniach i wieczorach, wyczekując niespodzianych pacjentów. Wymaganie takie byłoby śmiesznie dziwactwem. Lecz w mieście, gdzie jest taka ilość doktorów, po większej części młodych i zdro-

wych, należało już było do tej pory urządzić dobrowolne dyżury, dające publiczności pomoc w potrzebie, a lekarzom możność użytecznej pracy. Doktor-Żyd umie przytém, jak to mówią, „odświeżyć się“ czasami, przejechać się za granicę, dla posłuchania niby letnich kursów; z powrotem zaś ma prawo ogłosić, że wraca z nowym zasobem wiedzy, czém przywabia do siebie publiczność. Może doktor ten w samą rzecz słucał owych kursów, może odświeżył i zubożył swą wiedzę, może na pierwszym planie stawia dobro społeczeństwa w którym żyje i któremu pracę swą poświęca. Ale być może także, iż przejeżdżał tylko koło uniwersytetów i wraca do nas, przywoząc jedynie czezy rozgłos i pewną woń zagraniczną, na którą się tak łatwo łapią nasi dobroduszni rodacy. W każdym jednak razie doktor ten pojmuje wymagania czasu, czuje że do kapitału wiedzy trzeba ciągle coś dodawać, chcąc by nie ginęły procenta. Nasi zaś lekarze, otrzymawszy raz patent na prawo praktyki, pracują tyle tylko, ile potrzeba na przyzwoite życie. Czyż niedość się napracowali podczas studyów uniwersyteckich? Teraz kolój na naukę, by im się wypłacała za dane w mózgu schronienie; oni już swoje zrobili i pracować dalej nie mają ani chęci, ani potrzeby.

Trzeba więc przyznać z pokorą, że w naszym miasteczku wszystko jakoś się dziwnie urządza; że my, właściwi mieszkańcy tych stron, jesteśmy jakby nieproszeni goście, gotowi ustąpić swego miejsca każdemu, komu się podoba je zająć. Pozwalamy oskubywać się z piórek, odziedziczonych po ojcach i dziadach, a na wszystko to patrzemy zdziwionemi oczami, czekając w odrętwieniu, ażali nie znajdzie się ktoś, co nas wydobędzie z tego podrzędnego położenia.

Czekajcie szczęśliwie! Otwierajcie zgłodniałe usta.. Lecz zanim pieczone gołąbki przyłecą do gąbki, najprawdopodobniej... pomrzecie z głodu.

SZEWCKIE DZIECKO,

POWIEŚĆ

przez

Teodora Tomasza Jeża.

(Dalszy ciąg.)

— Z pewnością nie przyjdzie — dodał drugi. — Zaprosił go na wieś fabrykant musztardy, o którego wyrobach pisać się ma felieton.

— Zapewne pan redaktor zwiędza fabrykę?

— Ani zwiędza, ani zwiędzać będzie... W chwili tej jest na obiedzie pod Koroną... Idź pan tam, znajdziesz go niezawodnie... będzie panu rad, zakłopotany jest bowiem niepomału. Niema komu o musztardzie pisać... Możebyś pan?...

— Przedmiot ten nie jest mi obcym... — odparł Kaźmirz.

— Idź-że pan wprost pod Koronę.

— Nie mam przyjemności znać pana redaktora.

— Spytasz pan garsona pierwszego lepszego; znają go tam wszyscy.

W kwadrans później bohater nasz siedział przy stoliku *vis-à-vis* jegomości wzrostu średniego, oblicza nacechowanego uprzejmym uśmiechem, ubranego i ufryzowanego z wyszukaniem zaniebdaniem i obwiązanego serwetą. Kończył właśnie zupę i dysponował garsonowi danie następne:

— Sztukamięś przerażała, z jarzynką po bokach ułożoną, groszek, kapusta posiekana, karafiolik i ziemniaczki, z jednej strony przyrumienione.

Do słów dodawał gesta. Gdy mówił o posiekaniu, to pokazywał takowe prawą ręką na dłoni lewej i oczom wyraz stosowny nadawał. A ręce miał delikatne, białe, pieszczone. Dysponując, powtarzał dwa razy, a gdy garson odchodził, jeszcze za nim zawołał:

— Pamiętaj tylko: sztukamięś z bukicikiem!.. nie śpiesz się z daniem, niech się ziemniaczki

przyrumienią z jednej strony... tylko nie zanadto, rozumiesz?..

Zwrócił się do Kaźmirza.

— Masz więc pan artykuł, to dobrze.

— Mówiono mi w redakcyi, że potrzebujesz pan sprawozdania tycaącego się fabryki musztardy...

Redaktor się uśmiechnął i odrzekł:

— Musztarda po obiedzie.. Potrzebowałem, ale już nie potrzebuję... W przechodzie z redakcyi pod Koronę znalazłem natchnienie musztardziane i mam już artykuł cały w głowie... Będzie to wydmuch dowcipu, zbieranego tu i owdzie... Wyjdę z gotowalni elegantki i opowiem, jak się musztardą upomadowała... Będzie to introdukcya, z której wysnuję krytykę zjadliwą wszystkich musztard dżońskich, angielskich, włoskich i zwrócić się do ziarnka gorczycy... Tu się nastroję na ton poważny, zagram w dudy ewangeliczne i z dud tych wyprowadzę mego fabrykanta, którego posadzę na obłoku, jak Odina, dam mu w jedną rękę sztandar z etykietą, w drugą sło...

Nie domówił wyrazu, bo garson sztukamięś przyniósł. Redaktor przypatrywać się zaczął danie, marszcząc brwi i zaciskając usta.

— Sztukamięś... hm... Karafiolik trochę zaszczipły, ale to nic... Ziemniaczki jednak... o... ten nieprzyrumieniony, i ten nieprzyrumieniony... Odnieś-że to napowrót, niech kucharz ziemniaczki nieprzyrumienione wybierze i na patelnię je na momencizek rzuci...

Garson odszedł, a redaktor się znów do bohatera naszego zwrócił.

— Artykuł więc o musztardzie jest... Czytelnicy będą się za boki brali i jeżeli fabryce nie urośnie klientela w dziesięćnasób, to nie moja będzie wina... Międzynami mówiąc, musztardy mego fabrykanta nie jadłbym za żadne grzechy; przydatniejsza ona na truciznę na szczury, aniżeli na przypawę do mięsa, ale... hm... pisze się dla publiczności...

— Pan dobrodziej zwiędzał fabrykę?.. — wtrącił Kaźmirz, zostający pod wrażeniem pewnego rodzaju ogłuszenia.

Redaktor ramionami ścisnął i odparł:

— Ja się tam na tém nie znam...

W chwili tej garson powrócił ze sztukamięszą. Przegląd nowy talérza wypadł zadowolająco. Redaktor podwinął rękawy od surduta, zaokrąglił nad stołem ręce i zabrał się do jedzenia z akcentem, oznaczającym ześrodkowanie ducha. Krajał mięso regularnie, przekładał kawaleczki odkrojone jarzyną systematycznie, zwilżał je sosem, brał do ust, przeżuując wznosił wzrok do góry, przegryzał ziemniakami, zakąsał chlebem i nie odezwał się, aż skończył i dal dyspozycyą szczegółową, tycaącą się dania drugiego. Odezwał się potem w sposób następujący:

— Zamierzam do pisma swego wprowadzić reformę jedną, bardzo ważną... Czytuje pan felieton, kronikę tygodniową?...

— Niekiedy... — odparł Kaźmirz.

— Owóż chęć dokonać zmiany tytułu (wraz z te wymówił ze znaczącym naciskiem). Kronika... wyraz spowszedniały i cudzoziemski... Zastąpię go oryginalnym, charakterystycznym a swojskim: Trzęsionka... O!... Trzęsionka obejmować ma wszystko, od stworzenia świata do zielonych ogóreczków... Potrzebuję do niej pióra świeżego, jędrnego, ostrego, z werwą... Jeżelibyś pan czuł się na siłach?...

— Ja nie wiem... — odrzekł Kaźmirz, robiąc ruch ciałem taki, jakby się cofał.

— O czém traktuje artykuł pański?

— O cieple i zimnie...

— Wyborne! Materya nadaje się do Trzęsionki doskonale. Niech-no mi pan to pokaże.

Bohater nasz zawałał się na chwilkę. Wydobyl jednak rękopis z zanadru i podał.

Przyniesiono następne danie. Redaktor położył artykuł obok talérza, wziął się do jedzenia i załatwiwszy się z takowém, skinął na garsona.

— Macie tam ciasteczka jakie?

— Pudding po angielsku, andruty, piérożki.

— W cukierni Mandariniego, na wystawie w oknie, są, między innymi, różki z kremem,

biskopceiki konfiturą nakładane i krokieciki czekoladowe. Skocz, mój kochany, i przynieś mi jeden rozek, jeden biskopceik i jeden krokiecik.

Garson skrzywił się, z miną niechęć oznaczającą.

— Zrób to dla mnie, mój kochany, proszę ciębie.

— Kiedyż-bo to...

— Wiem ja że to nie w porządku, zrób jednak wyjątek dla mnie... bardzo cię o to proszę. Czyż chcesz, żebym obiad rozrywał i jadł go we dwóch miejscach? Po ciasteczkach podasz mi jeszcze owoc jaki, gruszczykę i parę śliweczek. Proszę ciębie.

— Tylko dla pana—odezwał się garson.

— Nie baw się tylko, a pamiętaj: rozek, biskopceik i krokiecik.

Garson odszedł. Redaktor rękopis rozłożył i sylabizując, odczytał głośno:

— Tyn-dal-la. Co to jest?

— Uczony... Anglik.

— Hm... To mi się niebardzo podoba. Anglicy zgubny na młodzież naszą wpływ wywierają. Hm... Pozbyć się nie możemy choroby naśladownictwa, przeciwko której w piśmie swoim walczę z sił całych i, pochlebiać sobie mogę, ze skutkiem.. Walczę szczególnie bronią szyderstwa. Wyszliśmy Darwinia co się zowie, i nie czytając go wcale... I z Tyndallem można to samo zrobić... Cha cha cha!

Śmiechowi temu bohater nasz nie zawtórował. Siedział nieruchomie, doznając w duszy uczucia smutku niewysłowionego na myśl, że zdanie które usłyszał, wyszło z ust kierownika opinii publicznej, doradcy ogółu, wierzącego mu na słowo i dającego się łowić na lep brzmiających frazesów. Redaktor przebiegał rękopis oczami, czytając piątę przez dziesiątę. Doczytał w ten sposób do końca, złożył artykuł, podał go Kaźmirzowi i rzekł:

— Nie... Gdyby to było o zimnie nauki, o cieple wiary, to jeszcze... Artykuły podobne urabiają kult dla nauki obcej... Czyż my nie mamy swojej, rodzinnej, tradycyjnej? Nie, panie kochany... W artykule pańskim za dużo zimna, za mało ciepła... styl jednak dobry. Pan mógłbyś pisać, gdybyś rzucił w kął wszystkich Tyndallów, a wziął się, dajmy na to, do... powieści... Spróbuj pan, radzę panu szczerze, po przyjacielsku; gotówem nawet udzielić panu wskazówek niejakich, odnoszących się do architektoniki artystycznej, dać osnowę główną... Spróbuj pan zresztą Trzęsionki, umieszczając w niej Tyndalla w oświetleniu jaskrawem.. O ile miarkuję ze zwrotów językowych, które mi w oczy wpadły, posiadasz pan w pisaniu łatwość, którą zużytkować możesz jak zechcesz...

Powrót garsona od Mandariniego przerwał ciąg dalszy rad przyjacielskich. Kaźmirz wstał, skłonił się w milezeniu i wyszedł, zostawiając redaktora wobec rozka, biskopceika i krokiecika, które uwagę jego całkowicie pochłonęły.

Udał się jeszcze do jednej redakcyi, w której redaktor naczelny przedstawił się mu pod postacią staruszka uprzejmego. Ten, dowiedziawszy się o co chodzi, wziął rękopis i okazał uradowanie żywe, mówiąc:

— Szerzenie wiedzy, to zadanie nasze... ach! bo też nam potrzeba wiedzy, wiedzy i jeszcze wiedzy! Artykuł pański odczytanym być musi na posiedzeniu redakcyjnem. Przyjdź pan pojutrze po odpowiedź.

Kaźmirz chciał odejść; staruszek go zatrzymał.

— Chwilka jeszcze — rzekł. Nie wątpię, że opracowanie pańskie przyjętém zostanie, wszyscy my bowiem, w składzie redakcyi, jesteśmy przyjaciółmi światła w zakresie jaknajobszerniejszym. Pozwól mi pan tylko zadać sobie zapytanie jedno. Pan masz czasu dużo?..

— Przeciwnie, czasu mi brak zupełnie.

— I pisujesz artykuły treści naukowej?

— Bo—tu się Kaźmirz zająknął...

— Domyślam się — podchwycił staruszek tonem życzliwości.— Liczysz na honorarium autorskie. Niestety! pismo nasze honoraryów udzielać

nie może. Zamało czytelników, zamało dochodów... za ledwie opędzamy koszta nakładu.

Kaźmirz westchnął mimowolnie.

— Postaram się jednak—ciągnął dalej redaktor—jeżeli praca pańska uznanie uzyska, wynagrodzić ją, stosownie do możności. Zgadzasz się pan na to?

— Zgadzam się.

— Płynąć musimy przeciw prądowi—mówił staruszek dalej—który zasila i podsycają pisma potężne, wielkie, codzienne, bałamucąc opinią, spekulując na przesady, pochlebiając ciemności. Trudno nam z tego powodu... trzymamy się jednak i w tym trzymaniu się czerpiemy otuchę, że niezawsze tak będzie... Mamy nadzieję, że prawda zwycięży wkońcu.

Podał Kaźmirzowi rękę. Młodzieniec i staruszek uściskali sobie dłonie wzajemnie.

Bohater nasz nie liczył wcale na honorarium za pierwszą pracę swoją. Przyszedł jednak do redakcyi, w celu dowiedzenia się o decyzji, jaka na posiedzeniu zapadła—przyszedł i, ku wielkiemu zdziwieniu swemu, dostał talarów dwadzieścia. Staruszek, wręczając mu takowe, promieniał od radości.

— Co to?—zapytał Kaźmirz tonem podejrzewania.

— Artykuł o cieple i zimnie przyjęty... Znaleziliśmy źródło na opłacanie prac pańskich, które mi zasila pismo nasze jaknajwięcej. Pisz, pracuj... idź śmiało... pójdziemy razem, niestety! niedługo; ja was młodych lada chwila w drodze opuszczę.

— Cóż to za źródło?—przerwał Kaźmirz.

— Czyste—odparł staruszek z pośpiechem — fundusz pisma, który znalazł się, niby skarb na drodze, nie dla ciebie, lecz dla pisma... Trzymaliśmy się i dotrzyaliśmy.

Że Kaźmirza zadowolił obrót, jaki wzięła sprawa jego, o tém wspominać za ledwie potrzeba. Zdobył sobie stanowisko, zabezpieczające mu byt i pozwalające pracować dalej swobodnie, aż do tego momentu, w którym natrafi na nową w kopalni naukowej żyłę. Natychmiast wynotował sobie temata do kolejnego opracowywania: O wpływie wody i powietrza na roślinność; Analiza spektralna; Trzydzieści pięć warstw kopalnych; Chemia i życie etc. etc. Podawać zamierzał rzeczy znane w nauce a ciekawe dla ogółu, opracowując je w ten sposób, ażeby budziły w czytelnikach ochotę do bliższego i gruntowniejszego onych zbadania. W tém przekonaniu, że wiedza, chociażby najrozleglejsza, jest za ledwie abecadłem wobec tego, o czém ludzie nie wiedzą jeszcze, chciał do poznawania abecadła tego zwabić pracowników ilość jaknajwiększą, dając im ponętę w opisach etap różnych, które mi postępek kroczy naprzód. W tym celu układał sobie treści opracowań, grupował źródła i szykował przedmioty. Praca ta zajęła mu dni parę, a wypadła właśnie w czasie, kiedy pani Ewelinie naszymi zginął. Opisana w jednym z poprzednich rozdziałów bytność bohatera naszego u panny Heleny, nastąpiła w ciągu oczekiwania jego na odpowiedź staruszka-redaktora, to jest w ciągu tych dwóch dni, w których Kaźmirza trapiły myśli najczarniejsze, odnoszące się do jutra, pozbawione go wszelkiej pewności.

Zdobył pewność, urządził sobie warsztat i gdy ułożył materiały, przyszła mu na myśl panna Helena. Przypomniała się mu wizyta ostatnia.

— Niewiedzieć co! — pomyślał sobie.—Przestraszyłem ją miną kwaśną, której zamaskować nie umiałem. Trzeba to będzie odrobić. Pójdę jutro. Poszedłbym dziś, ale to już późno, a tam wieczorem zbiera się towarzystwo niekoniecznie smaczne.

Dobre miał przecucie że nie poszedł, albowiem raz byłby się naraził na to, żeby mu lokaj drzwi przed nosem zamknął: powtóre, gdyby go nawet ten afront nie spotkał, to zastałby towarzystwo w rzeczy samej niesmaczne: paru jegomości niemiłych, parę dam podeszłych, starą hrabinę, panią Ewelinę, jakiegoś młodego człowieka, za-

siadającego kiedy niekiedy przy fortepianie i odgrywającego dość poprawnie sztuki, będące podówczas *en vogue*, jakąś damę w lokach, mającą minę egzotyczną, dla której zapewne rozmowa, muzyką przerywana, toczyła się w języku francuskim, pana Tadeusza Zdziarnowskiego i pannę Helenę. Ta ostatnia wyglądała w tém gronie nie nader wesoło, a to dlatego może, iż wesoło nie wyglądał nikt, z wyjątkiem chyba pana Tadeusza, ustrojonego wedle wyrażenia francuzkiego „à quatre épingles.“ Włosy rozdwojone i podfryzowane, wąsiki wymuskane, bródka uczesana, kołnierzyki à la prince de Galle, krawatka wążutka, mankiety szerokie z guzami wielkimi, kamizelka otwarta, frak najmodniejszy, rękawiczki obcisłe, *lorgnon* na piersiach, słowem na postaci jego, we względzie tego co moda przepisuje, niczego nie brakło i niczego zanadto nie było. Modnie się też poruszał, tak że zdawało się, iż składa się nie z ciała i kości, ale z drzewa, poruszanego zapomocą mechanizmu, ukrytego wewnątrz. Widząc go, szakało się téj dziurki, która służy do nakręcania kluczem. Na usta panny Heleny widok jego wywoływał lekkie uśmiechy, które miały znaczenie szczególne z tego powodu, że młody pan Zdziarnowski odgrywał rolę kawalera, starającego się o jej rękę formalnie i w tym charakterze uznanego przez panny Heleny dziadka i babkę, matkę i ojca.

Tak, i przez ojca. Pan Krzysztof, zapytany o zwołenie, nie sprzeciwił się.

— Jeżeli—słowa jego—Hela okaże się tak dobrego gustu, że się jej ten szarmancki młodzieniec podoba, to niech kapitał swojej miłości lokuje na ewikcyi jego głowy rozpolowionej. Na jej miejscu wolałbym kogo innego, ale... na miejscu jej nie jestem.

Pan Tadeusz przeto odgrywał rolę swoją śmiało, odgrywał ją jednak przez prokuracyą niejako, za pośrednictwem hrabostwa Przesielskich i pani Orchowskiej. Im zapalał swoje wyznawał, z panną Heleną zaś byłby mówił, gdyby, ile razy do niej się zbliżył, nie zapominał języka w gębie. Gnięwał go to, ale rady na to nie było. *C'était plus fort que lui.* Nie umiał mówić z nią o zapalch swoich i mawiał o rzeczach o mil stop od zapalch odległych, na przykład: o wyścigach, o tém jak wyglądają łoża cesarskie w teatrach paryzkich, o tém jak była ubrana cesarzowa Eugenia w lasku Bulońskim lat temu pięć, o chorągiewce na dachu rezydencyi cesarskiej w Wiedniu, o wypadku na kolei jaki mu się przytrafił, nie dojeżdżając do Berlina, o pannie Schnajder, o piesku i małżonku księżny Metternich i o innych, tym podobnych, wiece zajmujących przedmiotach. W mówieniu był biegłym, posiadał i tade, i akcent dobry, ale w materji starania się o rękę ust nie umiał otworzyć. W postawie panny Heleny było coś, co go od tego powściągało, to „coś“ zaś tkwiło w przypuszczeniu bardzo prawdopodobnym: a nuż odpali? Dlatego też nastawiał się tylko, usiłował podbić serce zapomocą fraka, i zaczepkę, tyczącą się sprawy matrymonialnej, odkładał do chwili sposobniejszej, do której wdychał ciągle.

W gronie gości hrabstwa, zgromadzonych tego wieczora, toczyły się rozmowy rozmaite, powtarzanie których nie przedstawia interesu najmniejszego. W ogólności rozmowy tego rodzaju są bez interesu dla tych nawet, co je prowadzą. Ot, gada się od niechęcenia, dlatego jedynie, że natura obdarzyła ludzi organami, służącemi do gadania. Czasami tylko wypadek jaki głośny, jakiś skandal towarzyski rozmowę ożywi. W braku skandalu, przedmioty do rozmów przynosi ślina na język i język pełni funkcję swoją.

Przeminięła rozmowa jedna, nastąpiło granie młodego człowieka; przeminięło granie, nastąpiła rozmowa druga; przy drugim granie stara hrabina usnęła w fotelu, a usnęła nie w porę, albowiem jednemu z jegomości niemiłych przyniosła ślina na język zapytanie o nieobecnego hrabiego. Chciał zapytanie to wystosować do hrabiny. Widząc jednak że śpi, zwrócił się do siedzącej nieopodal panny Heleny.

— Hrabia... jakże? co jest powodem tego, że

nie mamy zaszczytu cieszyć się obecnością jego?..

Panna Helena odpowiedziała, że nie wie.

Jegomość tedy zwrócił się do pani Eweliny i zapytanie powyższe co do słowa powtórzył.

— Wyjechał, wezwany przez dyrekcją policji.

— O?—odezwał się jegomość tonem półzapytania—do dyrekcji policji?

— Bagatela, kłopoty domowe... Pojechał z Franem. Mam nadzieję że lada chwila powróci.

Panna Helena na słowa te doznała niespokojnego serca bicia i zwracać zaczęła często oczy na drzwi, którymi wejść mieli dziadek i brat.

Rozmowa tymczasem przeszła na inną jakąś materią, wchodzącą w zakres kompetencji pana Tadeusza, dał się bowiem słyszeć jego głos. Hrabina spała. Panna Helena nie zważała wcale na to co się mówi.

Upłynęło pół godziny. Młody człowiek od grania zabił się do pełnienia służby swojej, gdy dał się z podwórza słyszeć turkot pojazdu i wkrótce potem wkroczyli do salonu hrabia i Franio.

Ten ostatni wpadł raczej, nie zaś wszedł. Z oblicza bił mu wyraz zirytowania i wzruszenia. Hrabina się obudziła. Panna Helena zbladła.

Hrabina obudziła się i ze słodkim uśmiechem zwracając się do obok siedzącego jegomości, rzekła:

— Powiadasz pan więc...

Musiło się co śnić staruszcze.

Jegomość chciał protestować, że nie nie powiedział, lecz nie miał czasu. Uwaga obecnych zwróciła się na hrabiego i Frania.

Hrabia rzekł:

— No... naszyjnik znalazł się.

Franio zawołał:

— To rzecz straszna, niesłychana, nie do uwierzenia! Kaźmirz!..

Pani Ewelinie tryumfu wyrazem oczy strzeliły; spojrziała na córkę, której bladość była krédową, i odrzekła:

— Pewną bylam tego...

Głos, którym wyraziła te wymówiła, spokojny był i zimny, ale i szyderski nieco. Z powodu odcienia szyderskiego, każda tych trzech wyrazów litera zamieniała się w sztylet, skierowany w serce panny Heleny. Panna Helena glucho jęknęła i szepnęła:

— O Boże!

Franio opowiadał, jak się rzecz miała.

Dyrekcja policji, obmyślając sposoby odkrycia kradzieży tak zuchwałej i zręcznej, wpadła na pomysł zarządzenia rewizji ścisłej u wszystkich znanych jej przechowywaczy rzeczy kradzionych. Sposób ten przedstawiał się jako jedyny. Złodziejka wysledzić nie mogła i potrzebowała działać szybko, ażeby nie pozostawić czasu na rozebranie naszyjnika na części składowe i zatarcia przez to śladów istnienia onego. Do rewizji wezwała hrabiego na świadka, którego świadectwo atoli wystąpić miało w takim tylko razie, gdyby się naszyjnik znalazł. Oddział policjantów, pod wodztwem komisarza, przechodził od jednego domu do drugiego, hrabia zaś jechał w karócie, zatrzymywał się przed domami, w których się rewizya odbywała i czekał. Na liście domów podejrzanych znajdował się i szynk Nuchima Bimbela. Zaczęto jednak od znaczniejszych i wyraźniej notowanych, od Lejzera, Grubej Mordkowej i innych. Nigdzie nie znaleziono nic—nie, jednym słowem; Lejzer, Gruba Mordkowa i inni zaprzysięgali uczciwość i wyrzekali na napaść, zaręczając jaknajuroczyściej, że oni żadnego złodzieja nie znali, ani widzieli nigdy w życiu, że gdyby się do nich zgłosił który, to oniby mu oczy wydarli, łeb rozbili i do policji odstawili. Na ulicach, na których się rewizye odbywały, powstawały zbiegowiska dzieci Izraela, płacze i lamenty. Policja jednak, nie zważając na nie, swoje robiła i z kolei zaatakowała Nuchima Bimbela. Otoczono domek; niewolno było nikomu wchodzić ani wychodzić, przetrzasano wszystkie kąty, skrytki i schówki najprzód na stronie prawej i, nie znalazłszy nic podejrzanego, przeniesiono się na stronę lewą, zajmowaną przez Józefa. Na stronie lewej nie zna-

leżono zrazu nie także. Józef nie był obecnym, zwyczajem swoim spędzał wieczór na gospodzie, w knajpie rzemieślniczej. Obecnym był chłopak terminator, który, zastraszony, przypatrywał się, jak agenci władzy bezpieczeństwa publicznego zaglądali ze światłem w kąty, w piec, pod piec, pod łóżka, jak otwierali szuflady i odmykali skrzynki, jak przetrząsali pościel i jak nakoniec jeden z nich z łóżka Józefa, z pod siennika, wyciągnął coś zawiniętego w ręcznik, rozwinął i zawołał:

— Ot i naszyjnik!

— Wezwano dziadunia (słowa Frania) i wysiedliśmy z pojazdu. Wchodzimy: pokazują dziaduniowi naszyjnik, pytając: ten? Ten... Komisarz wykomenderowuje dwóch policjantów i w chwilę później przyprowadzają delinkwenta, w którym, ze zdumieniem swoim największym, poznałem kolarza, brata rodzzonego Kaźmirza.

— Toś go znalazł?—wtrąciła pani Ewelina.

— Znałem. Odwiedzałem brata, gdy ten ze mną mieszkał. Miałem go za żywe wcielenie uczciwości jaknajgruntowniejszej i teraz jeszcze... opamiętać się nie mogę...

— Jakże się zachował wobec *corpus delicti*?—zagadnął ktoś.

— Oslupiał zrazu, a potem...

— Cóż potem?—zapytała pani Ewelina.

— Zapłakał.

— Dowód wprawy w rzemiośle.

— Nie, mam... nie! Nie mogę, nie chcę temu wierzyć, ażeby on był winien, pojąć jednak nie mogę, jak to się stało.

— Stało się jaknajprościej... Pan Kaźmirz Odrębski, któremu ojciec twój wstęp wolny do domu naszego otworzył, skradł i bratu dał do przechowania.

— Kaźmirz Odrębski?—zawołało głosów kilka i ócz par kilka na hrabiego się zwróciło.

Pomiędzy głosami temi, głos pana Tadeusza odznaczał się przyciskiem najdobitniejszym.

Hrabia głową potakująco kiwał.

— Nie inaczej—odpowiedział, I komisarz policji tego samego jest zdania. Miał wstęp wolny, mógł wchodzić i wychodzić, trafił na moment sposobny i ściągnął naszyjnik. To się tłumaczy samo przez się.

Jeden z gości zdziwienie niejaki objawił, że Kaźmirz kradzieży się dopuścił, będąc przypuszczonym do grona towarzystwa wyborowego.

— Co prawda—odparła pani Ewelina—syn szewca z małego miasteczka...

— Tak—któs się odezwał i przytoczył przysłowie, które powiada o smarowaniu chłopca miodem.

Przysłowie to wytłumaczyło rzecz całą. Występek przypisywany Kaźmirzowi wydał się naturalnym. Jeden tylko Franio był zdania przeciwnego, ale zdania swego umotywować nie umiał.

Panna Helena milczała i stopniowo powróciła do stanu normalnego, obojętnie przysłuchując się rozmowie ogólnej, która ożywiona zrazu materią skandaliczną, zaczęła następnie wyczerpywać się, tak że musiano w końcu szukać ucieczki w muzyce. Młody człowiek uderzył w klawisze. Panna Helena skinęła na Frania, ten przysiadł się do niej i pomiędzy bratem a siostrą zawiązała się następująca rozmowa.

— Czy myślisz, Franio, że on winien?

— Kaźmirz?—odezwał zapytany, ramionami sciskając. Wierzyć mi się nie chce, a... jednakże...

— Co, mój Franio?

— Pozory... straszne pozory!

— Czyż pozory zawodzić nie mogą?

— Zlarza się to niekiedy, ale rzadko... bardzo rzadko.

— Pobudki jednak moralne mają znaczenie jakies, w tym zwłaszcza wypadku.

— Tak, zapewne. Pobudki moralne świadczą przeciwko podejrzeniu, ale w części tylko, w tej części, która się odnosi do naszego moralnego przekonania, opierającego się na znajomości Kaźmirza... Znamy go, lecz kto zaręczy, że znajomość nasza nie jest powierzchowną? Jest-to kwestya do rozstrzygnięcia arcy-trudna.

— A jeżeli Kaźmirz kradzież w rzeczy samej popełnił?

— To co?—zapytał Franciszek, uderzony tonem zapytania siostry.

— Cobyś o nim myślał?

— Myślałbym że się zhańbił.

— Nie, że wpadł w nieszczęście.

— Zapewne... Hańba jest nieszczęściem.

— A w nieszczęściu należy się ratunek.

— To rzecz względna... Bywają nieszczęść rodzaje rozmaite, a z tych jedne wzbudzają współczucie, drugie wzbudzają obrzydzenie. Te ostatnie na ratunek nie zasługują.

— Obrzydzenie wzbudzają występki, zbrodnie?

— Tak.

— Jak choroby pewne, wrzody, trąd?

— Tak.

— Które jednak, pomimo wstępu jaki wzbudzają—ciągnęła panna Helena—zasługują i na współczucie i na ratunek. Tak samo występki i zbrodnie, są to bowiem choroby.

— Masz rację, Helenko—podchwycił Franciszek—w kradzieży jednak, w kradzieży takiej obrzydliwej i w takich warunkach spełnionej, jak ta której się Kaźmirz miał dopuścić, jest coś tak wstępnego, tak sromotnego, tak niskiego, że... wypowiedzieć tego nie mogę. Wyobraź sobie tylko... myśmy Kaźmirzowi, a raczej w Kaźmirza tak wierzyli!

— Ja wierzę w niego idzi—podchwyciła panna Helena żywo.

Franio popatrzył na siostrę wzrokiem nieco zdziwionym.

— I proszę ciebie, mój Franio, o łaskę je-dnę.

— O jaką?

— O to, żebyś poszedł do Kaźmirza.

— Ja? pójść?

— Pójdź i rozmów się z nim. Proszę cię o to, zaklinam—dodała tonem błagalnym.

Ten ton zafrasował Frania.

— Cóż w tym masz? Czy litość?—zapytał.

— Nie... miłość. Kocham go, Franio.

— Helenko!—zawołał ten ostatni, zdumiony nietyle wyrazem samym, ile swobodą i spokojem, z jakim wyraz ten wymówiony został.

— Kocham go—powtórzyła.

— Ależ—odparł młody człowiek, jakając się—jeżeli on dopuścił się...

— Przypuśćmy, żebyś się występku podobnego dopuścił ty, to czyż miłość moja dla ciebie, po występku jak przed występkiem, nie byłaby naturalną i godziwą?

— To miłość siostry dla brata.

— Rozszerz tylko pojęcie braterstwa i spojrzysz na takowe z porządku moralnego, a dziwić się nie będziesz, że się przyznaję do uczucia, o istnieniu którego dowiedziałam się dopiero w chwili, gdy mama podejrzenie na Kaźmirza rzuciła. Kocham go... chcę go ratować i... uratuję!

Wyraz ostatni wymówiła pocichu, ale z takim przyciskiem, że przycisk za krzyk starczył, i dodała spokojnie:

— Proszę cię o pomoc; jeżeli mi takowej odmówisz, to.. będę musiała inne sposoby ratunku przedsięwziąć. Pisałam już do ojca.

— Ojciec tu był... nie wiesz?

— Nie... kiedy?

— Dwa dni temu. Przyjeżdżał na krótko, wpadł tylko, w celu, jak słyszałem, załatwienia sprawy wydawnictwa jednego z pism postępowych i natychmiast odjechał... Ze mną się nawet nie widział.

— Odbierze więc list mój za powrotem.

— Cóżes pisała?

— To co mówię tobie. Pisałam o wypadku, o podejrzeniu, o tym że kocham Kaźmirza i prosiłam o ratunek.

Franio w milczeniu patrzył przez chwilę na siostrę, a w końcu rzekł:

— Tyś odważna, Helenko... bardzo odwważna!

— Niebardzo, kiedy o pomoc udaję się do ojca i do ciebie.

— Odwaga twoja tkwi nie w udawaniu się o pomoc, lecz w wyznaniu. Każda inna, na miejscu

twojém, zaparłaby się uczucia, pośpieszyłaby przenieść je na osobistość jakąś cieszącą się uznaniem towarzyskiém, zwłaszcza—dodał—mając osobistość taką pod ręką.

Ukazał gestem na pana Tadeusza.

Panna Helena uśmiechnęła się i z akcentem

go chodzić miał teraz—odparł Franio tonem zakłopotania.

— Rozmów się z nim. Zapytaj go w imieniu mojem, czy to on jest sprawcą tego występku.

— Dobrze.

— Zróbże to jaknajprędzej.

— On mieszka na Bocianieój.

— Pod numerem sześćdziesiątym ósmym—do końca Franio.

Panna Helena powtórzyła sobie parę razy w myśli numer, jakby dla ugruntowania onego w pamięci i zamilkła, w tój bowiem chwili mło-



Wigilia świętego Andrzeja. Pomysł i rysunek J. Maszyńskiego.

306

mocnym zapytania rzekła:

— Więc?

— Co?

— Nie odmawiasz mi? pójdziesz do Kaźmierzka?

— Ja-bo doprawdy nie wiem. pocobym do nie-

— Dziś już późno. Pójdę więc jutro.

— Rano?

— Przed ósmą, to jest przed otwarciem kursów w uniwersytecie. Poszedłbym dziś—dodał—ale w mieszkaniu jego zamykają furtkę wraz ze słońca zachodem i nie dopukałbym się.

dy człowiek od grania skończył sztukę i odbierał pochwały, jakie mu z różnych końców salonu posyłano.

Była-to aktu ostatniego scena ostatnia wieczornego u hrabstwa posiedzenia. W chwilę potem goście wynosić się poczęli. Jeden po drugim

wstawali, żegnali gospodarstwo i wychodzili. Przedostatnim był pan Tadeusz, ostatnim Franio. Pierwszy odjechał do hotelu, drugi piechotą udał się do mieszkania swego studenckiego.

Franiowi rozmowa z siostrą zapadła, jak to powiadają, w duszę. Wyznanie, jakie mu uczyniła, zaniepokoiło go. Myślał o niem, poddając je analizie psychicznej, dla przeprowadzenia której zastosowywał do niego zapytania rozmaite, jak na przykład:

— pędach, jak człowiek każdy posiada we krwi usposobienie do ospy, przyprawiającej o śmierć w dwóch wypadkach, czasem w wypadku nieszczepienia, częściej jeszcze w wypadku szczepienia materyą zepsutą. Na miejsce ospy podstawmy romansowość, na miejsce szczepienia wychowanie. Wychowanie dobre, zdrowe, trzeźwe, rozumne, oparte na podstawach moralności istotnej — nie zaś na mrzonkach ukutych z surogatów takowej — ubezpieczone wiedzą i pomne na to, ażeby młodość

Helena. Matka wprawdzie „poila ją truciznami“, ale ojciec czuwał z antidotami i trucizny neutralizował. Dziewczyna zdrowo, pod względem moralnym, rozwijała się. „Nie“ przeto Franiowe miało racją jaknajzupełniejszą. Uczucie jej nie było aberacją romansową.

Czémże więc było?

— Miłością prawdziwą — powiadał sobie Franio — prawdziwą, a więc spowodowaną... czém? — Kaźmirz dopuścił się brudu, przypuszczając że



Mały pomocnik. Kopia obrazu J. Mukarowskiego.

307

— Czy nie jest to aberacja romansowa?

— Nie — odpowiedział sam sobie, po gruntownym namyśle, który streścić się da w sposób następujący:

Romansowość, choroba grasująca pomiędzy płcią piękną, jest córką rodzoną próżniactwa, karmionego dymkiem subtelnym, wydzielającym się z metafizycznych ideałów. Romansowość urabia się zapomocą wychowania odpowiedniego. Kobieta posiada zarodki jej w instynktach, w po-

zaopatrzyć na życiową wędrówkę w zapasy zajęcia pożytecznego — wychowanie takie jest najpewniejszą przeciwko chorobie romansowości prezerwatywą. Odebrawszy wychowanie takie, kobieta nie ma czasu romansowaniem się bawić; życie jej zapelnia się czém inném. Bawi ją... pełnienie obowiązków — zabawka bardzo przyzwoita i odpowiednia, tak pod strzechą ubogą, jak pod dachem pałacowym.

Wychowanie takie właśnie odebrała panna

to on kradzież popełnił. Czy jednak przez to przestał być człowiekiem? Nie... Nie przestając być człowiekiem, nadawał się jako przedmiot porównania z innymi ludźmi, we względzie wartości przeciętnej. On dopuścił się jednorazowo brudu wielkiego; inni dopuszczali się brudzików małych raz po raz. Należałoby, żeby porównanie wypadło dokładnie, zesumować te ostatnie. Czyby się nie okazało, że suma ich przewyższa tamten? Franio czynił w myśli przegląd brudzików róż-

nych znajomych swoich, uchodzących za ludzi bardzo honorowych, i wahał się z wyrzeczeniem ostatecznym, po czyjej stronie przewaga. Toczyło się to strony ujemnej. Wziął następnie na uwagę dodatnią i kiedy do porównywania się zabierał, ręką machnął i zawołał:

— Niéma co!

Pozostawał jednak fakt brudu. Czemu on panny Heleny nie odstręczał? Odstreńczyłby ją, gdyby się takowego dopuścił pan Tadeusz. Wchodziła tu w rachubę wartość dodatnia, której zaprzeczyć sposobu nie było, a którą Kazimir górował nad tłumem. Jeżeli Helena kochała go przed popełnieniem przez niego występku, to po popełnieniu onego, gdyby przestała kochać, miłość jej poprzednia byłaby nie miłością, lecz prostym kaprysem romansowym, dopuszczającym ustania miłości dla racji mniejszej i jeszcze mniejszej, w końcu dla bagateli jakiejś, dla przywidzenia jakowegoś chimerycznego. Sprzeciwiało się to sumienności kobiety, zapatrującej się na świat seryo i wytaczało na stół potrzebę ratowania upadłego.

Panna Helena tego się właśnie, nie czego innego domagała.

— Ma racją—powiedział sobie Franio.

(*Dalszy ciąg nastąpi.*)

LISTY ZE STOLICY WĘGIER,

profesora A. Pawińskiego.

IV.

Zaledwie po wycieczce do Gödöllö i Hatvan zdołali wypocząć archeologowie, a już trzeciego dnia, to jest 8 września, nowa była ułożona wycieczka, która znów inną dla przybyłych gości przedstawiała niespodziankę: nowe widoki, inne wykopaliska, inne strony. Celem podróży była miejscowość nad Dunajem położona, Erd Batta, gdzie czysto rzymskie znaleziono starożytności. Więc nie lą tam, lecz po „pięknym modrym Dunaju“ odbyć się miała wycieczka upragniona przez wszystkich, którym wśród takiego urozmaicenia dzień cały upłynął w Gödöllö i Hatvan. To też uczestników tej naukowej zabawy nie zbrakło, bo kiedy w dniu oznaczonym około szóstej godziny zrana wszyscy zajęli miejsca na umyślnie wynajętym w tym celu statku, dość było ludno na pokładzie i w kajutach, a gwaro jak na odpuszcie wiejskim—pod względem zaś języków—istny Babel. Na polu i pod otwartym niebem, na szerokich przestworach nie znać było tej różnorodności; cała gromadka ułożona rozpadła się na drobniejsze kółka, a wiatr unosił ze sobą choćby najgłośniejsze słowa. Tu zaś całe towarzystwo, złożone z trzystu zgórą osób, na niezbyt wielkiej miłoście się musiało przestrzeni: wszyscy z konieczności do siebie więcej byli zbliżeni, żywsze ze znajomymi i nieznanymi zawiązywali rozmowy; powstawał zład zgiełk iście jarmarczny, w którym słyszałeś echa przeróżnych języków. Nad innymi panował jednak francuzki, łączący węzłem duchowym wszystkie narodowości, ale nie ów język paryzki, z akcentem który słyszysz w nadsekwanskim grodzie, lecz język dziwnie mieszany, tak przeróżny, jak różne są odcienia prowincjonalne w samej francuzczyźnie. Kiedyś zaczął z Anglikiem lub Amerykaninem rozmowę po francuzku, mogłeś być pewnym, że w ciągu pierwszego kwadransa, póki z wymową się nie oswoisz, nie rozumieć nie będziesz. Gdyś słyszał Włocha mówiącego po francuzku, zdawało ci się zrazu, że po włosku toczy się rozmowa. Istotnie dziwna tu wszędzie słysząc się dawała mieszanina wymawiania tak ulubionego u nas języka.—Cała też korzyść u nas z tej predylekcyi do obczyzny, że jak nawpół rodowici mówimy Francuzi.

Na statku owym, gdzie właśnie brzmiały te przeróżne rodzaje mowy cudzoziemskiej, było gwaro, wesoło i przyjemnie. Płynęliśmy z biegiem rzeki ku południowi dość szybko. Powoli tra-

ciliśmy zoczku Peszti Bude, owdwa miasta przeciwległe, przedzielone tylko Dunajem, które od niedawna Węgrzy połączyli bliższym jeszcze węzłem, razem je Buda-Pesztem, jako jedną całość, nazwawszy. Prawe brzegi Dunaju na całej przestrzeni naszej podróży sterczały jako niezbyt wysokie wzgórza ponad wodą, gdzieniegdzie łącząc się z nadbrzeżną niziną, gdzieniegdzie wzbijając się wyżej ponad okoliczny poziom. Lewy brzeg rzeki równa się niemal zupełnie z przylegającą do niej płaszczyzną. Daremnie szukałbyś tu tych czarujących piękności, jakimi Dunaj darzy podróżnika, który po jego wodach płynie od Wiednia do Pesztu. Krajobraz traci tu swoje barwy rozkoszne; nie widzisz owych czarnych borów nadbrzeżnych, przeglądających się w modrych nurtach rzeki, owych tarasów skalistych, piętrzących się nad wodą. Natura mniej tu obfita w bogactwa, co bawia i olśniewają oko. Ale z tém wszystkiém nie jest prawy brzeg Dunaju pozbawiony piękności. Tu widzisz ludną, na pochyłości góry osiadłą wioszczybę, która ku południowi zwrócona, w winnych kryje się ogrodach. Zdaje się, jak gdyby jedna zieloność pokrywała całe smugi. Nad małemi chatami panuje z niezbyt wysoką wieżyczką murowany kościółek wiejski, który białością swą odbija od zielonego tła winnego krzewu. Tam znów z po za wzgórza inne spływa wzgórze, jakby nieprzerwany ogród winny. Malowniczości wśród tych barw jednostajnych niewiele; zato spostrzegasz obfitość, dostatek, bogactwo.

Tak niemal godzinę całą płyniemy po Dunaju: po prawej stronie snują się szeregiem winnice, na środku rzeki ludno, jakby wśród miasta. Wodne młyny, jak samotne osady rzeczne, długim ciągną się pasmem. Rzuć okiem na lewo, na niski brzeg Dunaju: płaszczyzna daleka, jakby bez granic, ginie na krańcu widokregu; ani wsi nie ujrysz, ani winnic zielonych. Duch pustkowiata tamtąd wieje; widzisz, jak nad Dnieprem, step bezludny. Z prawego brzegu rzeki dochodzi nas kiedyś niekiedy głośnie huk z moździerz i rusznicy; widzimy powiewające chorągwie i niewielkie grupy wieśniaków. Są to powitania, przesyłane z nad brzegu dla płynących statkiem gości.

Nakoniec, po dwugodzinnej podróży, przybijamy do brzegu, gdzie wysiąść mamy. Jest to już cel naszej podróży. To owo rzymskie Erd Batta. Na lądzie widać tłumy ludu wiejskiego, który zbliżył się aż do samego brzegu (prawego) Dunaju. Wąskie pasmo nadbrzeżne stanowi niezbyt szeroką drogę; po za nią piętrzą się wysokie góry. Nad samą wodą ustawiono moździerz, z których co chwila huk straszny się rozlega. Honwedzi-huzarzy, z zawieszonymi na ramionach dolmanami, pełniąc obowiązki bombardyerów, lont przykładają. Wieśniacy i wieśniaczki głośnie „elien“ witają towarzystwo na statku będące. Powoli przybijamy do brzegu. Po promie mamy się na ląd stały dostać. Tymczasem dano znak. Wszyscy się zatrzymują. Na pomost wstępuje pan X. w stroju węgierskim, w ciemnym aksamitnym dolmanie, z karabelą u boku, z sobolą czapką, na której sterczy długie czaple pióro — jedném słowem w stroju narodowym, który przypomina stroje wenecko-francuzkie XVI-go wieku, i wita przybyłych gości, przedstawicieli nauki europejskiej, w imieniu dziedzica tych dóbr i okolicznych włości, bar. Sima, nieobecnego. W imieniu komitatu przemawia znów przedstawiciel szlachty, ubrany również w barwy narodowe. Jedną i drugą mowę przerywają co chwila huczne „elien.“

Wśród podobnych okrzyków wysiada całe towarzystwo na brzeg, żeby razem z przybyłym tłumem wiejskim udać się pieszo przez wzgórze na miejsce wykopalisk rzymskich. Tymczasem na samym wstępie podróży spotyka nas miła niespodzianka, która cały pochód na czas dłuższy wstrzymuje. Nad samą drogą, wiodącą na wzgórze, stanęli wieśniacy i wieśniaczki długim szeregiem. Twarze ich różne od tych, które widać dookoła, inny ubiór, jakiś pstry, teatralny, dziwne sprawia wrażenie. Na czele stoją rzędem mołojcy

i na gęślach wygrywają wesołe melode. Toć nie Węgrzy, nie Węgierki... Zkąd się wzięli ci Słowianie? Toć to Serbowie, to serbskie dziewoje, w tych zawojach, z temi kołpakami.

Byli to istotnie Serbowie, z tego samego szczepu i tym samym mówiący językiem, co Serbowie z nad Morawy i tych stron, gdzie toczy się walka przeciwko Turkom. Są to osadnicy, od kilku już wieków w tych stronach mieszkający. Tworzą oni tu jakby wysepkę na rozległym oceanie. Jest ich dość spora gromadka, skoro aż pięć parafij stanowią. Żyjąc blisko siebie, jako odrębna całość, zdołali zachować, prócz wiary swój, są bowiem wyznania wschodniego, język narodowy, ubiór rodzimy i obyczaj dawny. Szczególniej strój wieśniaczek, dziewcząt, które na przybycie gości europejskich szeregiem stanęły, uderzał wszystkich oryginalnością. Miały na głowach rodzaj zawoju z różnobarwnych wstążek, na szyi zaś sznury nie koralu, ale monet srebrnych i złotych nawet, najróżnorodniejszych. Monety były przedziurawione, większe i mniejsze, według wielkości dobrane, z przeszłego może lub zaprzszłego stulecia. Suknie odznaczały się również jaskrawymi barwami. Dla wielu cudzoziemców widok tych przedstawicieli narodowości serbskiej w Węgrzech bardzo był ciekawy. Francuzi, Anglicy zaczęli zaraz, wydobywszy ołówki z tek podróży, zdejmować rysunki z tych żywych obrazów. Na sta przykre poniekąd zrobiła wrażenie ta wystawa improwizowana z tego względu, że ludek ten, w swe stroje świąteczne przybrany, stał w szeregi wyciągnięty, na okaz uczonych z Europy, a z tego tłumy uczonych nikt niemal nie umiał przemówić językiem dla niego zrozumiałym. Jeden z mołojców, gdy nas usłyszał po polsku mówiących, śmiało podstąpił i pefen zaufania pytał, a żali nie mamy jakich pewnych wiadomości o tém, co się w prawdziwej Serbii dzieje; twierdził, że są odcieci zupełnie od kraju, gdzie ich rodacy mieszkają, i tylko prywatnie dowiadywać się mogą o losach pobratymców, gdyż gazetom węgierskim w tym względzie wierzyć niepodobna. Wpływ madjarski między tą garstką słowiańską tak jednak jest silny, że męzka część ludności, obok mowy rodzinnej, używa najswobodniej także języka węgierskiego.

Rozstaliśmy się ze Serbami, by podążyć przez wzgórze do miejsca rzymskich wykopalisk. Droga prowadziła wzdłuż Dunaju, wśród nieskończonego szeregu winnic. Dojrzały owoc winny nęcił ku sobie swą słodyczą. Gościnni Serbowie szczerze podejmowali gronami winnymi podróżników, znużonych wstępowaniem na dość strome wzgórze. Nareszcie już blizki jest przed nami cel podróży. Stanęliśmy na płasko wzniesieniu, czyli na równinie, tworzącej szczyt wzgórza. Tam dalej ku rzece za winnicami jest miejsce, które się zwie „Centum colles“, jakby jeszcze przez Rzymian tą nazwą stu pagórków ochrzczone zostało. Jakoż w różnych kierunkach widać tu i owdzie, dalej lub bliżej, liczne na równinie wzgórza, niby kopce ogromne, które prawidłowością kształtów, uszeregowaniem, odrazu naprowadzają na domysł, że muszą być usypiskami sztucznymi. Niektóre skrajne kopce, ku rzece zbliżone, miały kształt podobny do czatownie (kurhanów) na Ukrainie spotykanych, inne znów tylko uderzały swym ogromem, bryłowatością. Cała ta miejscowość „stu pagórków“ wydawała się jakimś obozowiskiem, jakimś oszańcowaniem, jakimś grodem warownym. Z rzymskich czasów, z II lub III wieku po Chr., pochodzą te nasypy, te kopce, jak świadczy liczne wykopaliska rzymskie, które już dawniej w tém miejscu na jaw wydobyto. W niektórych kopcach rzymskie groby znajdowano. Wnętrze jednego z pagórków odsłonięto umyślnie na przybycie gości: natrafiono w niem także na grób rzymski.

Nieco dalej od „stu pagórków“, nad samym brzegiem rzeki, dokąd jednak wprost, dla braku drogi, dostać się nie było można, a dokąd statkiem popłynęliśmy, powróciwszy ze wzgórza, znaleziono bardzo ciekawe miejsce. Była to łaźnia rzymska. Cóż naturalniejszego, jak to że Rzymianie, w niewielkiej odległości od obozowiska lub os-

dy, urządzili sobie nad wodą owe kąpiele ciepłe i zimne, które taki rys charakterystyczny cywilizacji rzymskiej z czasów imperatorów stanowią? Rzymianin bez kąpiele był jak ryba bez wody. W Rzymie zbytek w tym kierunku nie znał prawie granic: łaźnie osób prywatnych równały się marmurowym pałacom, a łaźnie nawet publiczne dla pospółstwa wszelkimi odznaczały się wygodami. Za przykładem stolicy światowładnego Rzymu szły prowincje. Gdziekolwiek, choćby tylko na jedną zimę, zatrzymał się w zdobytym kraju legion rzymski, już tam niewątpliwie powstać musiała łaźnia. Mamy więc tu nad brzegiem Dunaju, który stanowił kraniec panowania Rzymian w Panonii, ślady najjawniejsze pobytu osady rzymskiej. Oto miejsce tej łaźni, tak typowe, że choć spojrzysz zdaleka, poznasz od razu, iż łaźnia to rzymska. W głąb ziemi na półtora łokcia zapuszczone jest podziemie (souterrain) prawdziwej łaźni. Rzymianie miejsce to nazywali *suspensurae*, a nad niemi wznosiły się przeróżne cele i celki, do kąpiel ciepłych, letnich i zimnych. Podłoga tych pokoi, czyli sufit podziemia, opierał się na licznych słupach murowanych. Środkowe miejsce zajmował piec ogromny i należące do niego ognisko (*hypocaustis* i *praefurnium*); rozgrzane powietrze rozchodziło się po podziemiu do rur w bocznych ścianach umieszczonych, a rury doprowadzały parę do oddzielnych celek kąpielowych.

Ślady oczywiście całego gmachu zewnętrznego w ciągu wieków zginęły, ale zniszczeniu czasu oparło się zupełnie podziemie, które oczyszczono na przybycie gości z gruzu, aby plan łaźni wyraźniej się uwydatnił. Obok dawniej łaźni leżały gruzy rzymskich cegieł i liczne okazy kafli, z których główny piec był zbudowany. Na każdej cegielce widziałeś piętno wysoko posuniętego przemysłu rzymskiego, a kafle z różnokolorową polową świadczyły o wielkiem udoskonaleniu sztuki garncarskiej. Dozwolono lubownikom korzystać z tych materiałów obfitych: to też cudzoziemcy, a głównie Anglicy, zabierali ze sobą skrzętnie te przeróżne okazy rzymskich starożytności. Gdyby nie dżdżysta pora, możnaby było usiąść na tych gruzach przastarych, by podumać dłużej nad wspaniałą przeszłością rzymską. Ku dumom tym nastrojał posepny dzień jesienny, spokojnie toczące się nurty Dunaju i jak step daleki, bezbrzeżny a równy kraj z drugiej strony „modrej rzeki.“ Tak dziwny, tak rażący jest kontrast między jedną a drugą stroną Dunaju, iż sądziłoby można, że to już dwa światy oddzielne, tak od siebie odłączone, jak za czasów rzymskich, kiedy z jednej strony powiewała chorągiew rzymska, jako godło panowania cywilizacji, a z drugiej snuły się koczownicze hordy Jazygów dzikich i nieokrzesanych.

Alle wróćmy do dziejów wycieczki. Około południa zebrało się całe towarzystwo ze „stu pałórków“ na statku, by popłynąć nieco dalej nad brzegiem ku miejscu, gdzie znajdowała się wyżej wzmiankowana łaźnia rzymska. Czekal tam goście „un diner champêtre“, jak głosiło zaproszenie, przesłane w imieniu barona Sima do każdego z członków kongresu. Pamiątkowe miejsce miało być uczczone wspaniałą ucztą. Tymczasem dziwne nad nią zawisły losy. Zaledwie statek odbił od brzegu, alisci niebo czarnymi pokryło się chmurami. Zerwał się wichur gwałtowny, niosąc na swych skrzydłach grom, błyskawicę i ulwę bez granic. Świst przeraźliwy uraganu i huk burzy dolatywał do kajut, dokąd spłoszeni schronili się goście. Nie tracono nadziei, że zamkną się niebawem upusty niebieskie. Już nawet statek przybija do brzegu, gdzie czeka zgłodniałych gości „obiad wiejski.“ Trzeba tylko zwolna zbliżać się do płytkiego brzegu i stanąć tuż obok pomostu, który tymczasowo *ad hoc* zbudować kazano. Ewolucje statku trwają dość długo, bo brzeg niezupełnie bezpieczny. Nareszcie już majtkowie zarzucić mają kotwicę, trzymając w rękach liny, aby niemi przymocować statek. Nagle, wśród trzasku i huku, pod siłą uraganu, gną się pale i słupy pomostu i cała budowa w oczach naszych nurza się w nurtach rozkołysanej rzeki. A tym-

czasem strumienie niebieskie płyną bez przerwy. Położenie staje się tragi-komicznem: „mosty spalone za nami;“ niema możliwości dostania się do obiadu, a zapasów nikt nie zabierał, będąc na ucztę zaproszonym. To jednak najmniejsza. Ale mi żal tego ludu wiejskiego, który tłumnie z dalekich stron przybył na powitanie gości europejskich. To dzień Matki Boskiej, 8 września; więc wszyscy w szaty świąteczne ubrani, letnio przytę jak na skwarny dzień, jaki istotnie zapowiadał poranek. Ci co z dalszych wiosek przybyli, zapewne przyjechali na tych wózkach, które tam oto na stronie stoją tak licznie, jak na odpuszcie. Nieco dalej widać jakieś powozy, karęty, niewątpliwie szlachty okolicznej. Zaledwie na chwilę dęszecz ustanie, znów tęp obfitym spływa strumieniem na tych biednych wieśniaków. Matki z dziećmi pod wozami się umieściły, pleć silniejsza wtoczyła się do szalasów, gdzie były urządzone dla ludu prostego „resursy i cukiernie,“ a całe tłumy, twarzą do nas zwrócone, milcząco spoglądają na Europę, która się na ląd stały dostać nie może. Nie odezwała się muzyka, która była przygotowana, bo struny przemokły; zamokły również móżdżerze; zdaje się, że zamokły także głosy, które były przygotowane na przyjęcie archeologów. Choć wichur hulał jak szalony, nie powiewały nawet przemokłe chorągwie trój kolorowe, na szczytach namiotów zatknięte. Więc żadnych powitań, żadnych mów, nawet krótkiego „elien,“ tak skwapliwie zwykle powtarzanego, nie słyszałeś. Na twarzach członków osady okrętowej maluje się rozpacz. Nietyle chodzi o obejrzenie łaźni rzymskiej, ile raczej o ów *diner champêtre*. Wszystko stracone; może nawet z tą wodą spłynie do rzeki wszystka „krew turecka,“ (wino), dla której Anglicy istotnie wiele okazali sympatii, zwłaszcza przy obiedzie. Gaśnie wszelki promień nadziei dostania się na ten brzeg ziemi obiecanej, skoro dęszecz nie ustaje. Wzięto się jednak do odbudowania zwałonego pomostu. Koło godziny 2-giej przywrócono szczęśliwie komunikację, upusty niebieskie się zamknęły, ale ani myśląc o obiadowaniu pod gołym niebem lub namiotami. Stała więc rada i postanowiono przygotowany dla trzystu osób obiad wystawny przenieść na okręt i tam podejmować zgłodniałych gości. Rozsądna ta uchwała, gdy doszła do wiadomości towarzystwa, niemal naczecz będącego, stała się hasłem ogólnej a niekłamanej radości. Rzućmy zasłonę na tę jedną godzinę czasu, którą poświęcono obiadowi. Aczkolwiek była to chwila bardzo uroczysta, pełna głębokiego, milczącego nastroju, nauka jednak nic na nię nie zyskała. Do obrazka wszakże rodzajowego, gdyby po temu były zdolności, nie brakło tu materiału; do ciekawych spostrzeżeń obszérne otwierało się pole. Pośpiech, na przykład, z jakim wszyscy zajmowali miejsca bez namysłu i wyboru, a było to w ciemniejszej kajucie drugorzędnej, sprawił, że nastąpiło najdziwaczniejsze pokombinowanie narodowości. Przy jednym niewielkim stole, gdzie nas los umieścił, mieliśmy obok i przed sobą Anglika i Francuza, Szweda, dwóch Węgrów i Włocha. Co za kontrast, jaka różnica, jaka przepaść! Różnojęzyczność jak pod wieżą Babel, lub raczej jak w Austrii, a znowu wspólność widoczna między wszystkimi biesiadnikami — jednaki apetyt. Co z drugą częścią towarzystwa, z plecią nadobną się stało — któż to odgadnie?... Podobno w sali wygodniejszej pomieszczono panie. Co się działo przez czas obiadu z przemokłą ludnością wiejską, nie wiem także i wątpię, czy był ktokolwiek, co by się zapytał o tych, którzy przybyli na powitanie Europy. W każdym razie wieśniacy widocznie radzili sobie jak mogli, bo kiedy koło godziny czwartej obiad się skończył i słoneczko z za chmur wyglądać zaczęło, a całe towarzystwo z okrętu na ląd stały przeszło, widzieliśmy ludek serbski i węgierski ochochy, wesole jak po ucztę obfitej a głośnie. Jakoż tak było istotnie. Poradził sobie ludek, tak jak mu wygodniej się zda-

wał.

Nad brzegiem rzeki, gdzie statek przybił, niedaleko od łaźni rzymskiej, wśród pola kukurydżowego, w kształcie czworoboku wystawione były

długie namioty z desek, chrustu i gałęzi. Zielony liść dębu i brzeziny chronić miał od palących promieni słońca. Pod namiotami mieściły się długie stoły, a obok dwa rzędy ławek. Wszystko to umyślnie wystawiono, a chociaż wszędzie znać prostotę, widać jednak staranność i smak wytworony. Na samym wstępie, po za gęstwiną gałęzi, wznosił się bufet, z którego po pańsku ubrana służba miała roznosić wystawny obiad. Otóż ludek wiejski, powziawszy wiadomość, że Europa cała, z powodu zerwanego pomostu, a także zalanych wodą stołów i ławek, na ląd stały się nie przeniesie — zajął sam miejsce na tych nieco przymokrych ławach i pod owemi namiotami zielonemi. Gościnnie gospodarz zalecił także podejść i przybyłych wieśniaków. Więc gdy wstąpiliśmy pod owe namioty, zastaliśmy tam jeszcze uczujących w najserdeczniejszej zgodzie Serbów i Madjarów. Strumieniami prawdziwemi lała się tu „krew turecka“ z ogromnych puharów i dzbanów. Ochoczość panowała powszechna. Dźwięki muzyki cygańskiej więcej jeszcze podniecały uczucie ogólnej radości. Teraz dopiero rozwinęły się języki i zatliły iskry wymowy, którą niedawno dęszecz przytłumił. Górą byli Francuzi, zawsze wielką mający wprawę do puszczenia sztucznych ogni, lubo dorównywała im prawie w tym względzie szlachta węgierska, która tu pod namiotami przemawiała. Ale niestety, nikt z nas słów jej nie rozumiał. Gdy murawa obeschła, zaczęły się pod szalasami i pod otwartym niebem wesole płasy. Madjary zaraz stanęli do swego czardasza. Szlachta z włościanami, jak gdyby ich żadna nie dzieliła granica społeczna, puszczała się w tany. Ta swoboda niekłamana w stosunkach dwóch warstw towarzyskich, ta szczerość w zbrataniu się miała w sobie coś wielce pociągającego. Nie było w tém, jak nas zapewniano, nic sztucznego. Opodal znów stanęli Serbowie z Serbkami i rozpoczęli narodowy swój taniec, owo „koło,“ które tańczą spokojnie, tak samo jak w prawdziwej, książęcej Serbii, bez owego ognia namiętności, którą technie czardasz, zwłaszcza wiejski. Nieco dalej znów, pod namiotami lasu, młodzież węgierska pleci obojga staje po europejsku do kadryla, polki i t. d.

Porzucmy płasające i uczujące grona i skierujmy kroki nasze ku jednemu z namiotów, gdzie na samym wstępie urządzono improwizowaną wystawę archeologiczną. Była to myśl istotnie bardzo piękna, która nadawała charakter nieco odrębny tym wszystkim szalasom i namiotom. Wystawa mieściła w sobie okazy ceramicznej sztuki, znalezione w owej łaźni nadbrzeżnej, oraz w blizkim sąsiedztwie. Prócz cegieł i kafli, miało tu pięknej roboty, o nadobnych kształtach urny, miseczki, lampki i t. p. wyroby. Spotykałeś również przedmioty szklane, do ozdób służące, oraz perły gliniane i ze szkła różnokolorowego. Były także okazy z brązu. Całość, należąca do barona Sima i kilku okolicznych właścicieli, sprawiała miłe bardzo wrażenie na miłośnikach starożytności. Ci co urządzali wystawę tę w polu, wśród wysokich łodyg kukurydzy, słusznie przypuszczali, że przybywający z Europy archeologowie nie samym tylko chlebem żyją.

Gdy słońce wieczorne miało się ku zachodowi, dano znak do odwrotu. Odbijaliśmy od brzegu wśród głośnie, nieustających „elien!“ Późnym już wieczorem przybyliśmy do miasta, które, jak czarodziejski zamek, w morzu światła tysiąca tonęło. Wesole wspomnienia zostawili goście nad brzegami Dunaju, a byłiby jeszcze weseliej wspominali łaźnie rzymskie, gdyby nie owe łaźnie i wodospady niebieskie...

KORESPONDENCA TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO.

Lwów, w listopadzie.

Ruch zimowy rozpoczyna się już na całej linii życia umysłowego i artystycznego. Układają się programy odczytów, widowisk i zabaw karnawałowych, które w tym roku będą musiały zamknąć się w ciasnych ramach pięciu tygodni. Towarzy-

stwo Kopernikowe przyrodników, rozwijając dalej swój program, dążący do zbliżenia się ku publiczności i wywołania w szerokich kołach żywszego zajęcia się uprawą praktyczną nauk przyrodniczych, postanowiło urządzić w ciągu zimy szereg publicznych odczytów z tej dziedziny, w jej najszerszym pojęciu. Rozpocząć takowe ma świeżo osiadły tu znakomity naturalista, ziomek nasz, dr. Szymon Syrski, który w latach 1868—70, z polecenia rządu austriackiego, towarzyszył wyprawie morskiej do Chin i Japonii, w celu zawiązania z temi odległymi państwami stosunków handlowo-dyplomatycznych. Wyprawa austriacka, wypłynawszy cieśniną Gibraltaru, podążała wzdłuż zachodnich brzegów Afryki aż do przylądka Dobrzej nadziei, a następnie zwiędziła powyżej wymienione kraje. Pan Syrski, w czasie rokowań delegatów austriackich z ich rządami o kwestye polityczne i handlowe, miał wiele sposobności do przedsięwzięcia gruntownych badań fauny miejscowej, następnie zaś udał się do San Francisco i przez Amerykę powrócił w r. 1870 do Europy, wioząc ze sobą bogaty plon zdobyczy naukowych. W szeregu przeto popularnych odczytów zamysła obecny profesor zoologii na wszechnicy lwowskiej opowiedzieć interesujące pod względem etnograficznym i przyrodniczym wyniki swych spostrzeżeń i poszukiwań. Zapewne które z czasopism warszawskich zechce nabyć od dra Syrskiego te prelekcye. Tak niewiele stosunkowo ziomek liczymy w gronie podróżników, tak niewiele zdziałaliśmy dotąd na polu geograficznych i przyrodniczych odkryć, iż warto starannie przechować każdy kłos na tej niwie zebrany.

W pracowni malarza tutejszego, p. Wilhelma Leopolskiego, oglądaliśmy w tych dniach świeże i znakomite dzieło. Twórca „Zgonu Klonowicza“ pięknym obrazem tym umiał wyrobić już sobie zaszczytne imię nie tylko w kraju, ale i za granicą. Pamiętamy słowa gorącego uznania, jakie wyrzekła o nim krytyka wiedeńska. Obecna praca artysty jest powtórzeniem tej samej kompozycyi, z takimi tylko zmianami, jakie w niej uznał za odpowiednie. Powtórna ta edycja „Zgonu Klonowicza“ uważamy za bezwarunkowo lepszą, zarówno pod względem układu i nastroju, jak szczególnie technicznego wykonania. Najważniejszą odmianą, jaką artysta wprowadził w nowy swój obraz, jest usunięcie osoby lekarza. Tak więc pozostały na rozległym płótnie dwie tylko postacie: umierający poeta i ojciec zakonu Jezusowego, przybyły dla pozyskania w nim, przynajmniej u schyłku życia, prozelity. To usunięcie trzeciej osoby uważamy za pomysł szczęśliwy. Cokolwiek bowiem dałoby się powiedzieć o znaczeniu jej w planie obrazu, osłabiała ona przecież duchową treść, zamykającą się w zetknięciu tych dwóch tak sprzecznych, tak wykluczających się nawzajem idei, które uzmysławiają w obrazie poeta i spowiednik w czarnej sukience. W tym cichym a uroczystym zapasie szermierczym swobodnego i szlachetnego ducha z przedstawicielem dogmatu, nie potrzeba świadka. To osamotnienie poety, z każdą chwilą bezwładniejszego fizycznie, a jednak posągowo spokojnego na duszy, wobec człowieka, który w czerstwości sił cielesnych i w mistrzostwie dyalektyki czerpie otuchę, że pokona swojego przeciwnika, przybiera daleko dramatyczniejszy wyraz, gdy nikt trzeci nie towarzyszy ich rozmowie. Technika znakomita, ton kolorytu ujęty nader trafnie, malowanie perspektywy, rzutów światła, zagłębienie mrocznych i w półcieniu pograżonych przedmiotów, wykazuje w panu Leopolskim bardzo oryginalne pojęcie wielu zadań artystycznych. Jest to malarz wytrawny, poważny, tryumfów swoich nie szukający w przepychu świetnych form, ale w prawdziwym, wymownym obrazie duszy.

Lucyan Siemiński, który od dłuższego czasu zajmuje się poszukiwaniami do historii miejsc cudownych w Polsce, z tejże samej niwy religijnej uszczknął kwiat pełen woni i cichego wdzięku. Zebrałszy w całość, niekompletną wprawdzie, ale dostateczną do pochwylenia właściwości charakterystycznych przedmiotu, religijne pieśni

mystyków średniowiecznych, wydał je p. t. „Święci poeci. Pieśni mistycznej miłości“ (Lwów u Wł. Belzy.) Dźwiękiem zasadniczym, z którego wylęwa się źródło prawdziwie wzniosłych i czystych melodyj, jest tu miłość, ale nie ziemską i zmysłową, jak w powodzi współczesnych liryków: miłość to równie silna, a może i silniejsza od ziemskiej, miłość której oblubieńcem był Chrystus. Wszystkie te pieśni wrą, kipią tym uczuciem; żadna z nich nie jest utworem konwencyonalnym, według dzisiejszego pokroju, żadna nie jest pieśnią dla pieśni, sztuką dla sztuki; z każdej biją ku tobie płomienie tej miłości, które trawiły pierś i porywały wyobraźnię ascetycznych poetów do ekstazy. Cały zbiorek tłumaczeń Siemińskiego, wykonanych z właściwą mu świetnością dykcji i kolorytem gorącego zapалу, drży, jakby kielich róży wiosennej do ulatującego ponad nią motyla, tą gorączkową miłością Boskiego oblubieńca, tym upajającym zawrotem wyobraźni, którego najszczytniejszym wyrazem jest znana powszechnie „Glossa św. Teresy.“ Wszystkie poezye, składające się na całość „Świętych poetów“, uderzają w tenże sam ton, i dlatego pochłonięte przez czytelnika odrazu, sprawiają w końcu niewątpliwie trochę nużące wrażenie monotonii. Są tu pomieszczone utwory mistyczne św. Franciszka z Assyżu, św. Teresy, św. Jana od krzyża i Anioła Szlązaka, który, jakkolwiek urodzony we Wrocławiu i piszący swe dzieła religijne po niemiecku, jest nam jednak bliższym od innych; ojciec jego bowiem, Stanisław Szefer, mieszkał w Krakowie, spokrewnionym był z rodami polskimi Glińskich i Rawiczów-Dembińskich i w r. 1591 zaliczonym został przez Zygmunta III do stanu rycerskiego rzeczypospolitej. Nie wątpimy że „Pieśni mistycznych poetów“, znajdują wśród publiczności naszej licznych i gorących zwolenników, zwłaszcza u płci żeńskiej.

Zresztą, oprócz dalszych tomów dawniejszych wydawnictw Pola i Jeża, jakoteż wydanego wreszcie po kilkoletnich zapowiedziach „Kodeksu tynieckiego“, nakładem Zakładu imienia Ossolińskich, a pod redakcją świeżo mianowanego p. s. p. Bielowskim dyrektora tegoż zakładu, dra Kętrzyńskiego, i również świeżo mianowanego nadzwyczajnym profesorem historii austriackiej przy wszechnicy Jagiellońskiej dra St. Smolki, oprócz wreszcie zapowiedzianych (u Wł. Zawadzkiego) wspomnień z podróży po Grecyi, związanych z historią jej sztuki, p. t. „Ateny“, przez Wojciecha hr. Dziadoszyckiego, którego niepospolite formą, pomysłem i erudycją „Powieści Wschodu i Zachodu“, tak wielkiem cieszyły się przed kilku laty powodzeniem—nie widzę innych nowości literackich przed sobą.

Oddawna uczuwalibyśmy tu potrzebę stworzenia dobrej orkiestry miejskiej, któraby w razie uroczystych obchodów i t. p. mogła wykonywać większe utwory symfoniczne, niezależnie od kaprysów muzyk wojskowych. Dlatego przed dwoma, o ile pamiętam, laty, zawiązało się tu, za inicjatywą p. Jana Dobrzańskiego, towarzystwo muzyczne „Harmonia“, którego zadaniem miało być przedewszystkiem, oprócz uprawy muzyki, właściwej podobnym towarzystwom, wytworzenie doborowej orkiestry miejskiej. Przygotowawcze kroki trwały długo, może nazbyt długo; dopiero od kilku tygodni otwartą wreszcie została szkoła, mająca wykształcić orkiestrę pożądaną. Kierunek jej dostał się w energiczne i wypróbowane ręce p. Marka i odrazu wpało się do niej kilkudziesięciu uczniów. „Harmonia“, skoro dopnie zasadniczego swojego celu, to jest wykształci orkiestrę do symfonicznych utworów, zajmie wobec tutejszego „Konserwatorium muzycznego“, zostającego pod wytrawnym sterem p. Mikulego, toż samo mniej więcej stanowisko, co warszawskie „Towarzystwo muzyczne“ w obec „Instytutu.“ Uprawy muzyki poważnej w mieście naszym przybywa w „Harmonii“ nowy bodziec i nowe ognisko. Już na obecny sezon zapowiedział p. Marek szereg wieczorów muzycznych, na których stopniowo wyprowadzane być mają siły zbiorowe i pojedyncze nowego Towarzystwa. W ogóle tegoroczny sezon koncertowy będzie nader urozmaiconym.

Po pani Menter i Papperze, którzy go wielce obiecująco otwarli, zapowiadają cały szereg głównych imion: Saint Saensa, Joachima, Henryka Wieniawskiego i wielu innych.

Teatr nasz głównie w tym roku żyje przekładami, i to z widocznym kierunkiem wytworzenia dobrego repertuaru świątecznego, dla szerszych kół publiczności. W tym celu wybrano: „Córę piekiel“ Kneisla, „Nienawiść“, słabą ale efektywną i szlachetną w tendencji tragedją Wiktora Sardou i parę innych rzeczy. Z literatury oryginalnej, od czasów „Złoty ziarna“, przyswojono scenie naszej dotąd jedynie najświeższy utwór Michała Bałuckiego: „Rodzina Dylskich“, utwór istotnie bardzo chybiony, niedorastający nawet do miary „Pozłacanęj młodzieży.“ Tendencja i chęci autora są dobre; cóż kiedy dobrymi chęciami wyścielono drogę—do piekieł. Zdolnemu twórcy mieszczańskiej komedyi polskiej chodziło w dramacie tym o poważne przeprowadzenie myśli, iż niepomiarkowana żądza wyniesienia się, bez pracy, oświaty i oszczędności, jest karygodną i tragiczną może wywołać następstwa. Pole jednak dramatu nie otwiera się stanowczo przed wesolą Muzą p. Bałuckiego, i dlatego tym surowym dosyć sądem pragnęlibyśmy go tém chężej nawrócić na właściwe jego talentowi drogi.

Przegląd teatralny.

Pojedynek szlachetnych, komedya w czterech aktach, oryginalnie prozą napisana przez Sewera, przedstawiona d. 25 listopada w teatrze Wielkim (odznaczona drugą nagrodą na konkursie warszawskim).

Redakcja Tygodnika Ilustrowanego, przyjętym od wielu lat zwyczajem, drukuje w szpaltach swego pisma nagradzane na dramatycznych konkursach utwory. Zasada to chwalebna, gdyż tym sposobem wyróżniony na konkursie, często nieznanemu zupełnie, talent zyskuje poparcie moralne i zachętę, dając się odrazu poznać nie tylko publiczności odwiedzającej teatr warszawski, ale całemu niemal czytającemu ogółowi, w całym kraju. Zwyczaj ten ma jeszcze i tę dobrą stronę, że publiczność, zdążając na przedstawienie, jest już wogóle przyjaźnie dla znajomego sobie utworu usposobioną, już wyrobiła sobie o nim pewne zdanie i interesuje się głównie tém, o ile też wykonanie sceniczne wzmocni lub osłabi odniesione z przeczytania wrażenie.

Trudnijszym zato staje się położenie krytyka, który, oceniając dzieło przeznaczone dla teatru, musi, do pewnego stopnia, otrząsnąć się z wrażen odniesionych po przeczytaniu, usunąć je na plan drugi i przedewszystkiem zwracać uwagę na to, czy utwór sceniczny odpowiada swemu założeniu, czy forma dramatyczna, przyjęta przez autora, właściwą jest dla przeprowadzenia wydarzeń i charakterów, jakie skreślił zamierzył, czy, jednym słowem, komedya jest komedją, a nie dyalogowanym poematem lub powieścią. Rozgraniczenie w tym względzie musi być ścisłe i stanowcze: o ile bowiem powieść może być i jest najczęściej szeregiem epizodów, mniej lub więcej luźno powiązanych z sobą, o ile dopuszcza przerywanie akcji dla pomieszczenia ustępów w których autor od siebie objaśnia czytelnika o charakterach i czynach działających osób, o tyle właśnie dramat lub komedya wprost przeciwną powinna iść drogą. W powieści czyta się z upodobaniem wiele epizodów, bez których jednak akcja wybornie obyćby się mogła; w komedyi każdy taki epizod, opóźniający przebieg akcji, nuży widza i nadaje utworowi cechę rozwlekłości. W powieści autor może lekko zaznaczyć kontury charakteru i wzmacniać je następnie nowymi rysami, bądź to zapomocą dyalogu, bądź w formie wyjaśnienia; może w rozdziale następnym uzupełnić to, o czém zapomniał w poprzednim; poprawki i szczegóły tego rodzaju uchodzą w powieści, a nawet niekiedy dodają wdzięku tokowi opowiadania. W komedyi natomiast charakter każdy musi być, że tak powiem, ulany z jednej sztuki,

bez poprawek i późniejszych uzupełnień, musi od pierwszej chwili przedstawiać się wyraźnie, jasno, skończenie, tak aby na wyjaśnianiu go publiczności nie ucierpiał pochód akty; misterne szczegóły powieściowe, subtelne ornamentacje, miniatury rzeźby są tutaj zbyteczne, a nawet wadliwe. Dzieło teatralne, tak jak dekoracja teatralna, odpowiada swemu celowi tylko wtedy, jeśli jest malowane szeroko, śmiało, choć nawet szorstkim penzlem: dekoracja miniaturowa wykończona przedstawia się widzowi jako chaotyczna mieszanina barw, światła i cieni. Tak samo i w komedji subtelne wykończenie podrzędnych zarysów wpływa na zatarcie głównych konturów całości. Ta nieznamość perspektywy scenicznej, to niezdawanie sobie sprawy z różnicy między warunkami formy powieściowej i dramatycznej, jest przyczyną niepowodzenia wielu dzieł teatralnych, pomimo wielkich nieraz ich zalet, a przeciwnie, powodzenia płodów średniego tylko talentu, ale zastosowanych umiejętnie do wymagań sceny.

„Pojedynek szlachećnych“ posiada właśnie zalety i wady takiej „komedji powieściowej.“ Jest tam wiele pomysłów szczęśliwych, ale pomysły te są drobne i podrzędne znaczenia dla całości; jest wiele szczegółów powabnych w czytaniu, a znikających na scenie; pojedyncze ustępy wydają się świetnie, a całość wychodzi mglisto i blade. Natomiast usterki, ledwie dostrzedz się dające w czytaniu, jaskrawo wysuwają się na scenie na plan pierwszy i w wykonaniu dopiero okazują się, iż ta komedja jest raczej dyalogowaną powieścią.

Nie będę tu powtarzał treści „Pojedyńku szlachećnych“, jako znaną już czytelnikom Tygodnika. Mogę więc przejść odrazu do wyliczenia powodów, na których zdanie swoje o tym utworze opieram.

Węzeł dramatyczny „Pojedyńku szlachećnych“ jest wcale niezawikłany. Juliusz Stanley kocha Lidyę ubogą, ale mniema, iż ubliżałby sobie, sięgając po rękę Lidy bogatej, córki lorda Brougham. To szlachećne zaparcie się siebie zwycięża szlachećność drugą, opiekunów Lidy, — oto i wszystko. Aby treść tę rozciągnąć na cztery akty, potrzeba było użyć całego szeregu epizodów, mniej lub więcej szczęśliwie obmyślonych. Dziwnym trafem, epizody szczęśliwsze przypadają na dwa akty pierwsze, które też żywszy w widzach budzą interes. Schwywanie Juliusza, osadzenie go pod straż sędziwego Poccocka i ucieczka kochanków, okraszona walką spręcznych uczuć w scenie między Juliuszem i Lidyę w akcie drugim, oraz mistrzowsko skręśloną typem Poccocka, robią wrażenie i wywołują efekt, pomimo nieprawdopodobieństwa sytuacji. Dwa zaś następne akty nie mają już tej cechy. W akcie trzecim autor wprowadza nowy epizod i osobę nową, miss Letty, pupilę Juliusza, której zjawienie się na zamku lorda Harvey wywołuje zazdrość w sercu Lidy. Sztuka napozór zyskuje przez to nowy moment psychiczny, mający rozbudzić w widzach nowe zajęcia. Autor widocznie zakładał sobie na tém nadzieję wywołania efektu; tymczasem przygotowanie wejścia miss Letty zapomocą opowiadania stariej Peggy jest czysto powieściowe i rezwlekle, a sceny końcowe trzeciego aktu, dość powabne w czytaniu, przebrzmiewają w sali teatralnej bez echa sympatii w widzach, bez oklasku. W akcie zaś czwartym wyzyskanie tego momentu psychicznego jest niezadowolające i zdaje się jakby przedsięwzięte było jedynie w celu zapelnienia scen kilku. Jakież bowiem jest rozplatanie tego nowego węzła intrygi? Oto autor, zamiast znaleźć pobudkę szlachećną, dla przekonania Lidy iż Juliusz ją samę tylko kocha, wprowadza — jak to właśnie w epilogach powieściowych bywa — osobę nową, Bricka, który oświadcza się o rękę Letty. Jeżeli Lidy aż tak dotykanych dowodów niewinności Juliusza potrzeba, to zaprawdę pojedynek szlachećności między nią a Juliuszem bardzo niekorzystnie dla niej się kończy. Wogóle biorąc, akt czwarty jest najwadliwiej zbudowany: wchodzi w nim postać nowa i wcale niepotrzebna, bibliotekarz Kuff, wchodzi i wychodzi kolejno: Po-

cock, Peggy matka Lidy, sekretarz Kidd, ale dlaczego? naprózno zadawałem sobie to pytanie. Najślabszym wreszcie jest rozwiązanie sztuki, łatwo przewidzieć się dające od początku aktu, a więc niebudzące zajęcia i przytóm nader powolnie prowadzone do końca.

Do powieściowego kolorytu komedji wiele się też przyczynia wprowadzenie całego szeregu osób, wcale niewpływających na przebieg intrygi. Pomijam już to, że zamiast dwóch, wystarczyłby jeden opiekun, któryby Juliusza mógł adoptować; ale Kidd, Peggy, Kuff, Brick najzupełniej są niepotrzebni, choćby nawet treść została taką jak jest, bez żadnej zmiany. Słyszałem zdanie, iż autor miał na celu przedstawienie całej galerji charakterów, odzwierciedlających społeczeństwo angielskie. Czy tego celu dopiął? Nie sędzę. Byłby go osiągnął niezawodnie, cofając czas działania o lat, conajmniej, sto pięćdziesiąt; określając zaś wyraźnie, że rzecz dzieje się w czasach dzisiejszych, za rządów żyjącej dotychczas królowej Wiktorji, popełnił cały szereg anachronizmów, których nieczem usprawiedliwić niepodobna. Anachronizmem jest lord North, chwilami naiwny do śmieśności, chwilami poważny i wcale mądry. W dzisiejszym społeczeństwie angielskim, wiedzą to wszyscy, arystokracja celuje wykształceniem i wątpliwe można, czy w trzech połączonych królestwach trzech takich lordów North, co do stanu intelektualnego, znaleźćby się dało, a wyjątkowych postaci nie przedstawia się przecie w komedji, jako typy społeczeństwa. Przyznaję chętnie, że dwa wieki temu było ich więcej. Idźmy dalej: anachronizmami są Kidd i Kuff, ludzie wykształceni, a wierzący przecie, że w drugiej połowie XIX-go wieku lord jakikolwiek może rozrządzać życiem obywatela wolnej Anglii. Scena w której Kuff błaga lordów o zwłokę w egzekucyi więźnia, jest z tego względu wprost niedorzeczna. Pomijam kilka innych, drobniejszych anachronizmów, tak w charakterach, jak i w faktach. To co wymieniłem, wystarcza, jak mniemam, do wykazania, że autor, obrawszy sobie temat wybornie nadający się do czasów na przykład Karola II-go, przeniósł go w epokę dzisiejszą, niewiadomo z jakich powodów, a przez to *znowożytnienie* treści odjął swemu dziełu cechę prawdopodobieństwa. Powtarzam, że takich anachronizmów i nieprawdopodobieństw mógłbym naliczyć więcej; poprzestając jednak na wymienionych, wyrażam swoje zdziwienie, iż uszły one uwagi sędziów konkursowych, a co większa, że w niektórych recenzjach wysoko cenioną jest znajomość społeczeństwa angielskiego, jakiej autor rzekomo złożył dowody. Co do mnie, mogę w tém dopatrzeć się tylko znajomości czasów minionych, ale nigdy teraźniejszości.

Wreszcie aby skończyć z zarzutami, dotknę dwóch jeszcze rzeczy.

Jedną jest brak konsekwencji w rozwiązaniu sztuki. Juliusz, jak wiemy z aktu pierwszego, woli poświęcić szczęście całego życia przy boku Lidy, aniżeli dojść do majątku bez własnej zasługi. Tenże sam Juliusz, w akcie czwartym, przyjmuje jednak rękę Lidy, wraz z jej majątkiem. Sposób w jaki ten ustęp autor opracował, jest nieco wadliwy, ale słuchacz pojmując przynajmniej pobudki, które szlachećną duszę młodzieńca pokonały. Czego natomiast wcale pojąć nie mogłem, to łatwości, rzekłbym nawet skwapliwości, z jaką Juliusz, pewny już ręki Lidy, zgadza się zostać przybranym synem lorda North i dziedzicem jego bogactw. Dlaczego to uczynił tak bez namysłu? jakie pobudki moralne kierowały nim w tej chwili? Nastrożona się tutaj sposobność do bohaterkiego zaiste pojedyńku szlachećnych, której autor nie wyzyskał wcale. Juliusz nie opiera się, nie walczy ani chwili, biernie przyjmuje wszystko, a taki zupełny brak czynników psychicznych jest powodem, że szlachećny, idealny, wyegzaltowany młodzieniec, w tej chwili w niekorzystnym wcale świetle się przedstawia.

Drugim zarzutem są pewne cudzoziemskie zwroty języka, które redakcja Tygodnika pozostawiła bez zmiany, widocznie dlatego, aby uszanować właściwości stylu autora. Do takich nie-

swojskich zwrotów zaliczam nadużycie formy biernej, zamiast czynnej, np. „Anomalia taka zawsze zostaje ukarana upokorzeniem.“ Przecież równie jasno, a lepiej po polsku, wyrazić to można: „Anomalia taką zawsze karze upokorzenie.“ Wyliczać te, że tak powiem, zacięcia cudzoziemskie, trudno bardzo w recenzji z przedstawienia teatralnego; zwrócić wszakże muszę uwagę na systematyczne używanie przez wszystkich osoby trzeciej, zamiast pierwszej. Lidy mówi: „Nie bój się, Lidy, wiedz, że im szlachetniejsze upodobania“ i t. d. „Lidy, nie będzie marnowała pracy swego męża.“ Peggy mówi o sobie: „Peggy potrafi kochać.“ Tak samo przez trzecią osobę wyrażają się Kidd, Poccock, Bull i wszyscy. Gdyby tego sposobu mówienia autor użył dla jednej tylko postaci, rozumiałbym wtedy, iż zamierzył jej nadać cechę oryginalną; ale zastosowanie takiego wyrażania się do wszystkich osób komedji każe się domyślać, iż jest to mimowiednie użyty zwrot cudzoziemski.

W polskim języku używają tego zwrotu dzieci zaczynające mówić, ale nigdy osoby dorosłe. Jest to zatem błąd ważny. Czystość języka u nas ztraca się powoli; coraz częściej, w druku i żywym słowie, spotykamy się z obcimi naleciałościami, godzi się więc, aby na ten punkt, tak ważny, baczeniejszą niż dotąd, przy sądzeniu prac literackich wogóle, zwracano uwagę, a obowiązek wielkiej skrupulatności pod tym względem ciąży najbardziej na sędziach utworów dramatycznych, scena bowiem jest nie tylko szkołą obyczajów, ale i języka.

Powiedziałem na początku, że „Pojedynek szlachećnych“ zawiera wiele szczęśliwych pomysłów i powabnych szczegółów. Tak jest: pomimo ujemnego sądu o całości, uznaję z prawdziwą przyjemnością, iż autor w tych pomysłach i szczegółach okazał talent niepospolity i te właśnie objawy prawdziwej zdolności zniewoliły mnie do dość drobiazgowego wyliczenia błędów, których w przyszłości unikając, może stworzyć dzieło prawdziwie artystyczne. Dowodzi tego choćby sama już postać Poccocka, zgrzybiałego starca, wiernego sługi, pełniącego z zamiłowaniem obowiązki dozorey więziennego. I Poccock jest nieco anachronistyczny, ale prawdopodobniejszy od innych, a co ważniejsza, typ to skończony, rysowany śmiało i pewną ręką. Kidd, jako postać odrębna, jest również wysmienity i przeniesiony w czasy dawniejsze, wywoływałby na scenie wiele efektu. Stangret Bull, scharakteryzowany doskonale w słowach: „powozic i milczec“, traci w drugim akcie cechę sobie właściwą, staje się ruchliwym, wymownym, lubo nie przestaje być komicznym. Ponad wszystkiem zaś góruje szlachećna, nie z dzisiejszych zaiste czasów sielanka Lidy i Juliusza, otaczająca dwa pierwsze akty uroczym powiewem podniosłego idealizmu. Są to, powtarzam, szczegóły drogocenne, i żałuję szczerze, iż wadliwa budowa i obrobienie całości na dalszy plan je usunęły.

O grze artystów niewiele powiedzieć można; łatwo zrozumieć, że doskonałość wykonania zależy od dosadności w skręśleniu charakteru przez autora. Postać Poccocka przedstawiała najwładniejszą pole do popisu, i nie dziwnego, że p. Rapaacki odtworzył ją po mistrzowsku. P. Żółkowski wlewał ile mógł werwy w niewyraźną postać lorda North; p. Leszczyński bardzo dobrze łączył angielską sztywność z tlejącym pod nią ogniem szlachećnego zapалу; p. Tatarkiewicz robił co umiał, aby uwydatnić błady charakter Juliusza; p. Szymanowski był bardzo dobrym Kiddem, a p. Ostrowski komicznym rudowłosym Bullem. Mniej szczęśliwie, moim zdaniem, uwydatniły się role kobiece: gra panny Deryng objawiała pewne nierówności, jakąś niejednorodnością, którą tłumacząc sobie poczęści niejednostajnym traktowaniem postaci Lidy przez autora, poczęści zarodajem talentu artystki. W chwilach dramatycznych panna Deryng była nieporównaną; ale sceny sentymentalne, sielankowe, oddane były nieco blade. Co do mimiki, uzupełniając to, co już w sprawozdaniu z „Dworaków niedoli“ powiedziałem, nadmienię, że panna Deryng celuje wy-

razistą grą twarzy; ruchy natomiast i postawa są często nienaturalne i pod tym względem talentowana artystka ma przed sobą obszerne pole do pracy. Pani Niewiarowska rolę „nieszczęśliwej“ Peggy odegrała zręcznie i z humorem; wydawało się nam wszelako, iż nie jest w swoim żywiole i mniemy, że ta rola, jako zamknięta ściśle w granicach niższego komizmu, stosowniejszą byłaby dla panny Micińskiej, niż dla nieporównanej babki z „Grzyszków babuni.“

Władysław Noskowski.

POJEDYNEK SZLACHETNYCH.

Komedia w 4-ach aktach,

ORYGINALNIE PROZĄ NAPISANA

przez

Sewera.

(Nagrodzona na tegorocznym konkursie dramatycznym warszawskim).

(Dalszy ciąg).

NORTH.

To źle—należy to zmienić.

KIDD.

Może przez pośrednictwo botaniki, lub meteorologii, jeżeli mamy na myśli nową szkołę.

LORD.

Brawo, Kidd, brawo!

NORTH.

Kochany Kidd, ty zanadto zaczynasz być pewnym siebie.

Scena 9.

Ciż SAMI i KUFF.

KUFF (wchodzi zmęczony, chłodząc się chustką). Zwycięstwo, moi lordowie, zwycięstwo! Pokonałem go stanowczo!

NORTH.

Zgodził się?

KUFF.

Zupełnie. Gdy powrócił, usiadł zamysłony, a ja mu mówiłem, dowodziłem i dowodziłem. (Lordowie znacząco spoglądają na siebie). Milczał, ani jednym słówkiem nie ośmielił się przerwać mi, a dla skupienia uwagi, twarz ukrył w dłoń.

KIDD.

A może płakał, panie Kuff?

KUFF (spogląda na Kidda, mierząc go od stóp do głowy).

To nie były gawędy ze starych kronik, pisane przez ludzi ciemnych, z których dziś chcą pomować rozum pewni mędry, panie Kidd. (Do lordów). Zdaje się że go pokonałem Tucydidesem! Po skończonej przemowie wstał, podał mi rękę i rzekł spokojnie: „Szczuję twoje zdanie, panie Kuff.“ A ja na to: Ale czy je podzielasz?—„Najzupełniej“ odpowiedział. Łzy mi się w oczach zakręciły i zawołałem: Uratowany! Tucydedes cię wyratował. I czyż nie kochasz Grecy?—„Kocham“ szepnął smutno i odszedł. (Kuff spogląda dumnie. Kidd wzrusza ramionami).

LORD.

Dziękuję ci, panie Kuff.

KUFF.

Moi lordowie, czuję podwójną radość: ocaliłem człowieka przez Grecy! Co to za tryumf! Zaczęłam przemowę następującym wierszem Horacego...

KIDD.

Znamy go, znamy! (Lordowie żywo rozmawiają między sobą).

KUFF (z oburzeniem).

Prawdziwa piękność nigdy nie zostaje dokładnie poznana i oceniona! To nie herbarze, akta, procesa i tym podobne ludzkie śmieśności.

KIDD.

Ależ panie Kuff, czy chcesz aby gramatyka łacińska była wiecznym naszym kodeksem? (Wchodzi POCOCK).

Scena 10.

Ciż SAMI i POCOCK.

POCOCK.

Proszę waszych lordowskich mości, przychodzę upomnieć się o swoje prawa. Zabrali mi więźnia i nie pokwitowali. Wchodzę do lewego pawilonu... nie puszczają mnie — bo... bo aresztowany się ubiera. Więzień się ubiera!

KUFF (do POCOcka, z ręką przy ustach).

Uratowałem go!

(Kidd wzrusza ramionami).

POCOCK.

Ej, więźniów stanu się nie ratuje. Idą oni albo do fosy, albo do ołtarza.

NORTH.

POCOCK ma rację.

LORD (do POCOcka).

Z dwójga wybraliśmy to drugie, mój stary, a to skutkiem dzielnej pomocy naszego przyjaciela (pokazuje na Kuffa).

POCOCK.

Chwała Bogu! POCOCK na stare lata nie będzie otwierał drzwi na drogę do fosy. (Ocięża ły). Polubiłem go!

LORD.

Zostań POCOCK. (Z prawej strony wbiega, Peggy, ubrana świątecznie po staroświecku).

Scena 11.

Ciż SAMI i PEGGY.

PEGGY.

Moi lordowie, jestem nieszczęśliwa!

NORTH.

Dobrze.

PEGGY.

Ale teraz naprawdę.

LORD.

Mów, mów!..

PEGGY.

Panienska — ach jaka słiczna! bo to bledziutka, bielutka, a jak spojrzysz, to aż tu świdruje. (Pokazuje na dołek pod piersiami. Podczas rozmowy Peggy z Northem, Kuff z Kiddem prowadzą żywą dyskusję).

KUFF.

Karol Wielki barbarzyniec!

KIDD.

Neron cywilizator!

KUFF.

Artysta—rozumiesz pan, wielki artysta!

LORD.

Panowie, zawieszam dyskusję. (Kuff i Kidd schylają głowy).

NORTH.

Peggy, proszę, opowiadaj wyłącznie o swém nieszczęściu.

PEGGY.

Otóż o mojem nieszczęściu. Moja najdroższa panienska nie chce wdziąć welonu. Nie wiem o tém, że nie mieć welonu przy ślubie, jest to bardzo zła wróżba. A jakby jej było ślicznie!

LORD.

Proś ją o to w naszym imieniu koniecznie.

(Peggy stoi, spuszczając oczy).

NORTH.

Czy jeszcze jedno nieszczęście, Peggy?

PEGGY.

Chciałam... chciałam prosić waszój lordowskiój mości, aby i mój, to jest Bull, był także obecny przy uroczystości. Już go ubrałam.

NORTH.

Bull musi być świadkiem.

PEGGY (kłania się).

A zatem wasze lordowskie mości życzą sobie welonu?

NORTH.

Życzymy sobie i prosimy. (Peggy odchodzi. Cięcha a zażarta dyskusja Kuffa z Kiddem trwa dalej).

LORD.

Hola, moi panowie, zapraszam was abyście raczyli wkroczyć w dziedzinę XIX-go wieku, przystąpić do spraw będących na porządku dziennym. Panie Kidd, cóż się dzieje z naszą znajomą z Wild-street?

KIDD.

Wszystko przygotowane—karéta czeka.

NORTH.

Tam gdzie Kidd kroczy... Kidd, jak dalej?

KIDD (z powagą).

Wśląd za nim idą: rozsądek i przezorność — a nie spryt, jak chciałeś, mój lordzie! Spryt posiadają przekupnie i dziecy, a rozumni ludzie mają rozsądek i przezorność. (Dumnie na Kuffa spojrzanie. Kuff wzrusza ramionami).

SŁUŻĄCY 2-gi (wchodzi).

Karęty zaproszonych zjeżdżają.

LORD.

Otworzyć salę recepcyjną. Wezwać notaryusza. (Służący odchodzi. Lord do Northa). A my przeprowadźmy swoich. (Lordowie podają sobie ręce i ściskają się. Lord idzie do drzwi na prawo, North na lewo. Po ich odejściu wchodzi Bull, ubrany arcy-komicznie).

Scena 12.

KUFF, KIDD, później NOTARYUSZ.

KUFF (do Kidda).

No, no, panie Kidd, już to artystą i helenistą nie jesteś, dlatego nie umiesz oceniać prawdziwej piękności w sztuce.

KIDD.

Być może, panie Kuff, lecz zawsze nie posiadaję tak krótkiego wzroku, abym nie miał dojrzeć geniusza w Szekspirze.

KUFF (zapalając się).

Ale gdzież on jest? (Wchodzi notaryusz w białej peruce i todze sędziowskiój, ściska za rękę Kidda i kłania się Kuffowi.).

NOTARYUSZ.

Dyskusya na porządku, jak zawsze...

KUFF (do notaryusza, z mocą).

Czy i pan jesteś wielbicielem tego rzeźnika, który szlachtuz swojego ojca przeniósł na deski teatru i jak w młodości zarzynał cieleta, tak na scenie mordował ludzi? Rzeźnicza natura zawsze się jednakowo objawia...

KIDD.

Czy Szekspir młodość swą przepędził w szlachtuzie, to jeszcze kwestya. (Do notaryusza). Nieprawdaż, panie Snape?

NOTARYUSZ.

Moi panowie, dziś wszystko zakwestyonowane. W tych czasach niedowiarstwa, kwestya jest czy słońce świeci, czy po dniu następuje noc. Ba, (z mocą) nawet kwestyonują czy prawo jest nauką....

KUFF (z zapalem).

Nędzne sceptycyzmu czasy! Dlaczego Grecya była tak wielką? bo miała wiarę. Bogowie żyli razem z ludźmi.

Scena 13.

Z prawej strony wchodzi lord, prowadząc pod rękę Lidy, za nimi Peggy. Z lewej strony North, za nim Juliusz w ślubnym stroju. Za Juliuszem Trotter. Wszyscy obecni oddają głęboki pokłon przybyłym.

KUFF (do Kidda).

Co to znaczy?

KIDD.

Pokonałeś go, panie Kuff, na rzecz miłości piękna, i oto rezultat. (Spogląda dumnie).

POCOCK (podnosi rękę w górę, do Bulla).

O Boże, Boże wielki! Czyż nie mówiłem: do fosy, albo do ołtarza!

KIDD.

U naszych panów zawsze tak.

LORD (do notaryusza).

Panie Snape, akt przygotowany podług instrukcyi?

NOTARYUSZ.

Najzupełniej, mój lordzie, brakuje tylko nazwisk. Najprzód kładzie swój podpis oblubieniec, po nim oblubienica i świadkowie.

NORTH.

Podług prawa oblubieniec piérwszy... A ja zachowuję sobie przywilój podania pióra. (Bierze pióro z rąk notaryusza. Juliusz poważnie zbliża się do stolika, odbiera z zimnym ukłonem pióro, staje obok Lidy i podpisuje).

(Dokończenie nastąpi).

Artykuły treści naukowej, z innych piśmiennictw czerpane.

Sztuka włoska w epoce odrodzenia,

przez M. Carrière'a.

II.

Rozkwit sztuki włoskiej.—Leonardo da Vinci.—Michał Anioł, Rafael, Correggio, Tycjan.

(Dokończenie).

Bazzi umie wynajdywać obficie dobre motywa, lecz nie potrafi ich należycie zużytkować; lubując się wdziękiem pojedynczych postaci, nie umie takowym wyznaczać właściwego stanowiska; ztąd celuje on głównie tam, gdzie przedmiotem obrazu jest tylko jedna osoba, jak o tém przekonywa nas S-ty Sebastyan, Chrystus w cierniowej koronie i legenda o S-tój Katarzynie ze Sieny.

Jeżeli przedstawienie „uczucia w ruchu“ stanowi właściwe zadania muzyki, to w takim razie Antonio Allegro da Correggio (1494—1534) był muzykiem od urodzenia, zmuszonym dlatego jedynie chwycić za pędzel, iż malarstwo podówczas górowało nad innymi sztukami. Ztąd-to może w jego utworach czuć ten pociąg ducha ku muzyce; za pierwszym spojrzeniem na obraz dostrzegamy to, co artysta z własnego serca przelał w obrany przedmiot, lub wogóle stan uczucia jego, uwydatniony tak w barwnych harmoniach, dla których jedynie zdają się istnieć postacie obrazu, jak w dźwięcznym rozwiązywaniu wszelkich dysonansów, przez łagodne przejście do uroczego światłocienia, w którym nikną ostre zarysy, a postacie występują tylko jakby odbicia marzeń snutych w umyśle artysty. Wszystko to Correggio poczęści sam odkrył, po części po mistrzowsku wykonał, i przez to zajął wysokie i odrębne stanowisko. Przepelniające jego duszę uczucie wylęwa on, podobnie jak Michał Anioł, w postaciach w żywym zostających ruchu i lubuje się w nieodzownych przytém skureczach. Śmiało i wesoło przekracza granice tradycyji kościelnych i wesoło swywoli ze swymi aniołkami. Nie ubiegając się wcale za duchowością i wzniosłością, lecz za zmysłowemi powabami, popada w słodycz, a nawet wdzięczenie się. Gdzie tylko jednak sztuka schlebia zmysłom, nie podnosząc przytém ducha, tam piękno nie może utrzymać swego namaszczenia i niekażdy z patrzących zechce dla czarownych barw, świetnych półcieni, wdzięcznych odbić światła zapomnieć o błędach rysunku, zaniedbaniu formy, słabości kompozycyi i usterkach w architektonice całości.

Już Leonardo da Vinci posilkował się światłocieniem do modelowania postaci i zmierzał ku osiągnięciu wdzięcznych efektów przez zléwanie się barw. Correggio posunął się dalej jeszcze, nadając słodko-rozkoszny uśmiech, wabiące i mówiące zérknięcie oka, zarówno Madonnom i Magdalenom, jak Ledzie i Io, malując świętych i aniołów, spoglądających z takim żarem ku królowej niebios, z jakim przemieniony w fauna Jowisz spoziéra na obnażoną Antiope. Posuwając się dalej w tym kierunku, rozciągnął światłocień na całe malowidło, łagodząc światło i rozjaśniając cienie barwnymi odbłaskami; z poza powiewnych osłon przegląda nagie ciała z niezrównanym efektem. Fresk z Madonną, odjęty od ściany i pomieszczony w galerii parmeńskiej, stanowi najczystszej religijny utwór Correggia, który stoi tu najbliższej Leonarda. Zato wszystkie właściwości Correggia wychodzą na jaw w małych obrazkach, przedstawiających świętą Rodzinę w rodzajowy całkiem sposób, jak na przykład wypoczywającą w cieniu drzew podczas ucieczki do Egiptu, lub gdy Chrystus, bawiący się z małą Katarzyną, wkłada jęj na palec pierścien jakby zaręczynowy. Z większych stalugowych malowideł najslawniejsze są Dzień i Noc, pierwszy przedstawiający Maryą z Hieronimem i Magdaleną, opromienionych światłością, drugi nowonarodzonego Chrystusa, od którego, jako światłości światła, wypływa całe oświetlenie obrazu, opromieniające najsilniej Maryą, a następnie inne osoby otoczenia,

w łagodnym stopniowaniu. Postacie te (aniołowie i pasterze) niedbale są traktowane, jako niemające znaczenia, chodzą tu bowiem artyście jedynie o efekt świetlny. Kilka razy udało się Correggiowi oddać wyraz boleści w obliczu cierpiącego Zbawiciela, choć i tu z bólem miesza się nieznacznie wyraz słodkiego zachwytu. W kilku innych utworach dał on zły przykład dla następców, przez odtwarzanie samego aktu męczeństwa, na podstawie legend, osnutych przez lubującą się w katowskich scenach fantazyą średniowieczną.

Jakkolwiek olejne malarstwo najlepiej odpowiadało uzdolnieniu mistrza, jednakże powołanie do Parmy dało mu sposobność kilkakrotną do spróbowania swych sił na freskach. Pierwszym w tej mierze polem był klasztor zakonnic, którego salę przyozdobił rozlicznymi scenami mitologicznymi. Spoglądają na nich ze złośliwym uśmiechem geniusze, wychylające się na suficie z gęstwiny winnych krzewów. Drugim polem były kopuły: katedralna i w San Giovanni. Tutaj Correggio utorował niebezpieczną drogę dla następców, traktując swe obrazy tak zmysłowo, jak gdyby na sklepieniu kopuły otwierało się istotnie ponad głowami naszymi zwieszono niebo. Freski kopuły w San Giovanni posiadają coś uroczyście wspaniałego, zwłaszcza w dolnych postaciach ewangelistów i ojców kościoła; pośrodku unosi się Chrystus w chwale; u dołu wieniec spoglądających ku niemu apostołów. W katedrze Chrystus spuszcza się z wysokości, w orszaku aniołów, naprzeciw Matce, która wyciąga ręce ku Synowi. W radosnym zachwycie ściskają się stojący poniżej między oknami apostołowie. Postacie poruszają się i krążą bez odpoczynku, jak uosobienia dźwięków na falach morza tonów, które je ogłusza i obléwa.

Ta zmysłowa uciecha wyradza się w mitologicznych obrazach bądź w pospolitość, jak w Danae, na której lono sypie Amor złoty deszcz, bądź w pożądlivość, jak w Jowiszu i Antiope. O wiele powabniej i czystszej przedstawił zato artysta igraszki kąpiących się dziewcząt z ląbedziem w Ledzie, w Io zaś szczęśliwie urzeczywistnił zuchwały pomysł odmalowania zachwytu i duchowego upojenia, w jakim kochająca kobieta oddaje się ukochanemu mężczyźnie. Artysta rozwiązał tu trudne zadanie odtwarzania cielesności, uduchowionej pod wpływem czystej, prawdziwej miłości. Taki sam czar światłocienia obléwa postać napół obnażonej kobiety, która czyta książkę, leżąc wśród leśnej zieleni na pulchnym mchu; postać tę nazywają zwykle Magdaleną, lecz jest-to właściwie Muza.

Szkola Correggia, nie wyłączając sławnego portrecisty Mazzuoli, przezwanego Parmegianino, popadła w wyszukaną ekliwość i wymanierowane mizdrzenie się. Co u mistrza miało swe źródło w żywości i drażliwości uczucia, u następców przeszło w naciąganą, przesadną gracyą, daremnie usiłującą przywabić oko patrzącego.

W Wenecyi tymczasem szkoła miejscowa dosięgła najpełniejszego rozkwitu właściwych sobie cech, a mianowicie siły i harmonii barw, pozwalających z całym przepychem odtwarzać błyszczącą stronę życia. Malarze nie ubiegają się tu za rozwinięciem wielkich myśli, za obrazowaniem namiętnych wstrząśnień w dramatycznie ruchliwych kontrastach, lecz zmierzają jedynie ku przedstawianiu zdrowego, dzielnego, zadowolonego z siebie życia. W tym celu zbierają oni porozrzucone rysy życia przyrody w jedną harmonijną całość i opromieniają rzeczywistość, nie czyniąc z niej ofiary. Zwracając się zawsze nowo ku przyrodzie, starali się oni godnie odtwarzać ten widzialny przepych życia, i ztąd rozkwit szkoły weneckiej przetrwał złote czasy wszystkich innych szkół, które owładnięte przez jednego wielkiego mistrza, niewolniczo trzymały się jego stylu i jego typów, wykrzywiając takowe przez nadawanie im dowolnej treści. Przez to zamilowanie pięknej zewnętrzności, przez wierne

trzymanie się natury, przez odtwarzanie zadowolonego z siebie, duchowo wesołego życia w całej pełni przepychu zmysłowego, stoją mistrze weneccy bardzo blisko starożytności, pozostając jednakże wiernymi istotnie i kierunkowi swęj epoki przez to, iż starają się o artystyczne przekształcanie rzeczywistości w prawdziwie malarski sposób, dbając więcej o blask i harmonię barw, niż o czystość form.

Swoją drogą plastyka uzupełnia i wspiera tu malarstwo. Obok wielu dawniejszych mistrzów, spotykamy teraz u Andrzeja Sansovino (1460—1529) artystę, który delikatnością form odbijających całą czystość uczucia, zbliżył się najwięcej ze wszystkich rzeźbiarzy do Rafaela. Zarówno podziwiać musimy tę spokojną słodycz śmierci, jaką techną jego marmurowe posągi, jak i pełne indywidualnej siły i wdzięku uosobienie Cnot, otaczających sarkofag nagrobka w kościele Santa Maria del Popolo w Rzymie. Przedstawiając znowu Maryą z Dzieciątkiem na ręku, obok swęj matki Anny, odtworzył Sansovino trzy porry życia ludzkiego, w postaciach pociągających prawdą człowieczą natury. Jak dawniej artyści padeusey, tak teraz znowu lombardzcy oddziaływają na Wenecyę. Alfonso Lombardi z Ferrary powściągnął realizm wyrazu i ruchów; Begarelli z Modeny rywalizował z Correggiem w stopniowaniu napięcia uczuć duchowych. Przewszyskim jednak Jacopo Tatti, jako najzdolniejszy uczeń wielkiego mistrza, przewany także Sansovino (1477—1550), zawładnął na długo kierunkiem plastyki weneckiej. Studyował on w Rzymie antyki i najwięcej ze współczesnych zbliżył się do starożytnych mistrzów w posągach bogów. Obfita wynalazczość jego ducha pozwalała mu bogato ozdabiać pałace, które sam budował, i jakkolwiek te dekoracyjne prace bardzo nierówniej bywają wartości, to przecie zasadnicze motywa są szczęśliwe, i ogólne wrażenie, jakie wywołują, bardzo bywa korzystne. Postacie Sansovina wnoszą ducha ponad pospolitość, ograniczonosć i ułomnosć ziemskiego bytu, w pełnię swobodnego życia; to też niedługo czekały na przystrojenie w cały powab i harmonię farb malarskich.

Gdy Bellini najchętniej przedstawiał świętych w spokojnym obcowaniu, lub Zbawiciela samego tylko, Giorgione († 1511), przedwcześnie zmarły dla sztuki, posunął się ku świeckim przedmiotom. Postacie jego, zwykle w półfigurze lub popiersiu przedstawiane, pociągają nas swą poetycznością i przypominają typy włoskich nowel. Takim okazuje się sławny „Koncert“ w pałacu Pitti i „Lutnistka“, stanowiąca niegdyś wraz z „Ariostem“ Tycjana ozdobę galerii Manfrini. Ten drugi obraz przedstawia kobietę w pełnym rozkwicie wdzięków, z twarzą ku widzowi zwróconą, w chwili gdy w ożywieniu artystycznym zabiéra się do odśpiewania jakiejś pieśni. Nawet biblijnym przedmiotom, jak Jakub i Rachela, nadaje mimowolnie artysta nowelistyczne piętno swęj epoki. Przyostrą nieco energią Giorgione'a złagodził Palma Vecchio w swych wdzięcznych grupach kobiecych, przedstawiających bądź święte niewiasty, bądź też własną córkę artysty, której dziewczęcą, złotowłosą, pulchną postać spotykamy na obrazie w drezdeńskiej galerii.

Środkowy i najwyższy zarazem punkt w rozwoju weneckiej szkoły stanowi Tycjan (1471—1576). Mąż pełen energii żywotnej i zamiłowania w uciechach życiowych, twórca do późnej starości, podobnie jak Michał Anioł, różny jednak tém od niego, iż zamiast w odosobnieniu od świata, wśród walk i cierpień wywnętrzać tajniki swęgo ducha, wołał zręcznie płynąć z ogólnym prądem. Pożądany gość w towarzystwie każdego, ulubieniec magnatów, choć nigdy służalec, umiał on w życiu i sztuce pozostać zawsze wiernym sobie. Nie doznając silnych wstrząśnień wewnętrznych, zwracał tém bacniej swe oko na świat zewnętrzny. To co w rzeczywistości ukazu-

je nam się rozdwójonóm, niezupełném, zależném, on nam przedstawia jako całkowite, swobodne.

Gdy Michał Anioł, z ognistym zapalem republikańskiej duszy, bronił wolności we Florencji, Tycyan rozweselał swą sztuką i towarzyskimi przymiotami cesarza i papieża, którzy podówczas w Bolonii zawiązywali fatalne dla Włoch przymierze. Gdy Michał Anioł unaoczniał w rysunku wewnętrzne wstrząśnienia, uwydatniające się w zewnętrznych kształtach, Tycyan lubował się w spokojnym i zadowolonym ze siebie świecie, otaczając takowy całym blaskiem przepysznego kolorytu. Ztąd bardzo właściwie powołał go Karol V na swego nadwornego malarza, jak niegdyś Aleksander Wielki Apellesa, nie chcąc by rysy cesarskie przekazał potomności czyjkolwiek inny penzel.

Zręcznie chwytając tak w męzkich, jak w kobiecych obliczach rysy cechujące charakter, umiając podpatrzeć przyrodę w najszcześniejszej chwili, łączył on w swych portretach z podobieństwem polot poetyczny. Szczęśliwy w stosunkach z kobietami, obdarzony przez cesarza przywilejem uprawienia niesłubnych dzieci, wywdzięczał się pełnym zapału hołdem i uwielbieniem dla niewieściej piękności w licznych portretach, między którymi wydatnieją wizerunki jego ukochanej córki. Tu również zaliczyć winniśmy owe obrazy, którym, dla usprawiedliwienia nagości, nadawano nazwę mitologiczną (Venus), choć zwykle obnażona, pulchna postać kobięca, w leżącej postawie, i siedzący obok niej młodzieniec z lutnią w ręku, w ubiorze ówczesnym, nieczém nie przypominali olimpijskich władców. Jednakże nie czuło tu zmysłowej pożądliwości, lecz jedynie radosne lubowanie się wspaniałością ciała ludzkiego. Przyrodzona piękność, ujęta w szlachetne, regularne formy i odtworzona w odpowiednim stylu, przypomina postacie bogów starożytnych; malarstwo dochodzi tu swego szczytu w traktowaniu ciała i harmonii barw; złocisto-ciepły blask słońca obléwa prawie wolne od cienia i z całą czystością wymodelowane członki. Zwykle ciało leży z podniesioną nieco górną połową korpusu, choć czasem spotykamy i stojącą postawę, jak w tak zwanym Magdalenie, osłoniętej złocistymi włosów splotami. Upodobał sobie przytém mistrz jasne, dzienne światło i silne półtony barw, których połysk i głębie łączy w harmonijne akordy.

W przedmiotach religijnych podobnie uwydatnia Tycyan, zamiast tradycyjnych kościelnych typów, ludzką naturę, w całym majestacie i piękności zewnętrznej. Pełnią rozkwitłego ciała protestuje on niejako przeciw kościelnemu spirytualizmowi. Celuje tu przedewszystkiém w scenach spokojnego obcowania świętych pomiędzy sobą i bez wahania się dodaje im do towarzystwa znakomych Wenecyan i Wenecyanki. We freskach z dziejów biblijnych ustępuje Tycyan o wiele szkole florenckiej pod względem kompozycji; co się zaś tyczy samego fresku, a mianowicie światłocienia, technika jego dosięgła tu nieporównanego powabu. „Grosz czynszowy“ jest mistrzowskim przeciwstawieniem łagodnej pogody ducha i moralnej podniosłości w Chrystusie, z samolubną przebiegłością i czelnością faryzeusza. Kontrast ten uwydatnia się nietylko w wyrazie twarzy, ale zarazem i w całej figurze obu postaci. Układ rąk mianowicie pełen jest prostoty u Zbawiciela, gdy u faryzeusza skurezone i zaciśnięte w kulak. Odtworzenie tej naprężonej sytuacji, w której zacne odnosi zwycięstwo duchowe nad pospolitým, czaruje nas swobodą i delikatnością wykonania. W „Chrystusie ukoronowanym cierniową koroną“ uderza wstrząsająca do głębi poetyczność; w „Złożeniu do grobu“ znowu żalobna powaga, chwytająca za serce z równą siłą, jak sceny z dzieciństwa Jezusa radują cichým szczęściem rodzinnego życia. W niektórych oltarzowych malowidłach przedstawiał Tycyan, wbrew tradycyjnym formom, dramatycznie ruchliwe momenta z życia świętych, jak na przykład Piotra męczennika, gdy niespodzianie napadnięty, pada na ziemię, a towarzysz jego przerażony ucieka. Ponad temi postaciami wznoszą się wysoko ku niebu rozłożyste drzewa, z liść-

mi kąpiącemi swą zielenią w błękitie przestworów, a wdali uśmiecha się w blasku słonecznym krajobraz; aniołkowie z palmami krążą w powietrzu, zwiastując umierającemu zbawienie.

Największym i najcudniejszym z oltarzowych obrazów Tycyana jest „Wniebowzięcie Matki Boskiej.“ Jakkolwiek unoszący się w górze Bóg Ojciec, którego postać tylko do połowy widoczna z poza gloriy otaczającej Maryą, nie dorównywa podniosłością wyrazu kreacyi Michała Anioła i nie posiada piękności rafaelowskich linii, jednakże główna postać, w niebowziętej Marya, unoszona zarówno siłą wewnętrznego zapału młodzieńczej duszy, jak i pomocą otaczających ją aniołów, należy do najświetniejszych utworów sztuki. Rozkoszny czar jasnych, przejrzystych barw obléwa cały obraz, jak gdyby złoty, słoneczny blask chciał uduchowić wszystko co ziemskie.

Wpływ Tycyana rozciągał się szeroko i odbił się w dziełach wielu malarzy z innych nawet szkół, jak Domenico Campagnola z Padwy, Geronimo Savolda i Rumanimo z Brescia, lub Calisto Piazza z Lodi. Przed innymi zasługują tu na uwagę Alessandro Bonvicino, zwany Moreto z Brescii, i Bonifazio Veneziano. Pierwszy w swych oltarzowych malowidłach, tworzących na wzór utworów Fra Bartolomea i Rafaela, przedstawia Maryą z Chrystusem na ręku, w otoczeniu niewielu postaci, tętnących szlachetną powagą i siłą wyrazu religijnego. Bonifazio znów posiada ową niewyczerpaną świeżość, która pozwalała weneckim mistrzom korzystać z nieprzebranego skarbcia piękności w przyrodzie i z bogato rozwiniętego życia. Sadza on pod drzewem włoską księżniczkę, spoglądającą z podziwem na dziecię, które jej służąca podaje; marszałek dworu stoi opodal z gronem dam i rycerzy; po jednej stronie obrazu, śród kwicistej murawy, siedzi para zakochanych, po drugiej zaś stoją muzykanci, śpiewaczki, paziowie z psami i karzeł z malpą. Kompozycya ta ma przedstawiać „Znalezienie Mojżesza.“ Florencyjscy i Rzymianie umiają przecież ten sam przedmiot o wiele prawdziwiej przedstawiać, patrząc bowiem na romantyczny przepych utworu Bonifazja, zapominać musimy o prostocie biblijnej opowieści.

Dwaj inni artyści, Giovanni Antonio Pordenone i Parys Bordone, posiadali w postaciach, które wybornie wykonywali, niewyczerpane źródło rzeczywistych typów, pomocne im wielce w tworzeniu obrazów treści religijnej.

Tintoretto (1512—94) czuł, jak wiele zbywało weneckim malarzom pod względem głębszego, dziejowego pojmowania przedmiotu i dramatycznego odtwarzania żywszych sytuacji, w porównaniu z wielkimi rzymskimi mistrzami; ztąd napisał on na ścianie swjej pracowni: „Rysunek Michała Anioła, koloryst Tycyana“ i starał się z pomocą odlówów gipsowych przy świetle lampy zdobyć sobie wyrazistość modelowania i silniejsze efekta świetlne. Patrząc na olbrzymie rozmiary i ilość malowideł, jakimi ten artysta przyozdobił ściany i sufity weneckich pałaców i sal publicznych, pojmujemy trafność nadanego mu przezwiska (Tintoretto — farbiarz); z drugiej znów strony właściwie jego nazwisko Robusti (robustus — rosły, krzepki) odbiło się niejako w naturze krzepkiego, niezmordowanego [talentu] artysty, w śmiałej pewności jego pomysłów i postawach figur. Święty Marek na przykład rzuca się u niego głową nadół w błyskawicznym locie, by wyswobodzić męczonę niewolnika. Sceny z męki Zbawiciela, między którymi odznacza się głównie „Ukrzyżowanie“ w Scuola di san Rocco, przedstawiają fakta z całym realizmem, wstrząsając widza wyrazem cierpienia. Tintoretto, podobnie jak wielu jego towarzyszy, odzyskuje całą siłę swego talentu wtedy, gdy, jak Anteusz, uczuje ziemię pod nogami; dlatego też w portretach zostawił nam najwięcej godnych uwagi utworów, jaśniejących świetnym kolorystem i wyrazistym rysunkiem.

Weneckie malarstwo, oddane odtwarzaniu bogatego i świetnego życia mieszkańców potężnego grodu, dosięgło szczytu swego udoskonalenia w utworach Pawła Caliori, zwanego Veronese,

(1588—88) od miasta rodzinnego. W swych obrazach przedstawia on zwykle jaśniejących duchem i pięknnością współczesnych, zasiadających w bogatych strojach do uczyty, zastawionej we wspaniałej sali; grono całe tętni zawsze radośnym zadowoleniem, zarówno ducha jak i zmysłów. Nawet wtedy, gdy Chrystus sam należy do liczby biesiadników, bądź to w domu faryzeusza, bądź na godach weselnych w Kanie, obrazy mistrza z Werony nie tracą charakteru rodzajowego. Nikt dotąd nie umiał odtworzyć z większym powabem półcieni na obliczach biesiadników, lub na ich barwnie połyskujących szatach. W San Sebastiano w Wenecji pokazał Veronese, że umi z talentem odtwarzać sceny z życia świętych, posilując się zręcznie efektywnym kontrastem, jaki tworzy zestawienie nędzy życia ziemskiego z niebiańską chwałą, otaczającą zgon męczennika. Dzięki naturze swego talentu, w epoce upadku sztuki i panowania manieri, zachował świeżość pełną zdrowia i siły, którą zawsze ciągnąć będzie ku sobie widzów.

Bassano, rozmiłowany w jaskrawych kontrastach światłocienia, skutkiem czego obrazy jego skrzę się i błyskają brylantowym niemal ogniem, przedstawiał Świętą Rodzinę w bardzo idylliczny sposób, otaczając zwykle kolébkę nowonarodzonego Chrystusa gromadką zwierząt. Tym sposobem szkoła wenecka pierwsza dała przykład, za którym poszło późniejsze malarstwo holenderskie, choć początkowo starano się zawsze przedstawiać zwierzęta na tle religijnego lub historycznego przedmiotu.

Ten świetny rozkwit sztuk pięknych we Włoszech, będący wyrazem bogato rozwiniętego i lubującego się w pięknie życia, ozłocił wszystkie jego strony swym blaskiem; sprzęty i ozdoby mieszkań oszły na sobie piętno artystycznych zamówień owego czasu. Bardzo wielu znakomych artystów epoki odrodzenia było pierwotnie złotnikami i nie porzuciło swego zawodu. Riccio w swych kandelabrach zostawił arcydzieła rzeźby, przyozdabiając je postaciami mitologicznymi, zwierzęcymi i roślinnymi. Z nieprzebranego skarbcia przyrody wybierał najpowabniejsze formy, kombinując takowe w sposób oryginalny. W medalierstwie celował Valerino Belli. Nieśmiertelny Benvenuto Cellini (1500—82) rozwinął różnorodną działalność; szczęśliwszym był jednak w utworach łączących rękodzielniczy charakter z artystycznym, niż w większych, czysto artystycznych. Całą potęgę swęj twórczej wynalazczości pokazał on w nadawaniu rozlicznych, pełnych wdzięku i myśli form, tak orężowi, jak i sprzętom stołowemu. Wyzyskując zręcznie formę przedmiotu i barwę metalu z jakiego był wyrobiony, bądź z architektoniczną surowością zdołał i układał jego kształty, bądź puszczał wodze fantazyi w śmiałych pomysłach, łącząc perły, drogie kamienie i emalię ze złotem i srebrem, przeciwstawiając przejrzystość kryształu blaskom szlachetnych metali. Wijące się rośliny, smoki, nereidy, trytony, maski ludzkie otaczają fantastycznymi splotami wyrób, w którym kunsztowność roboty przewyższa o wiele wartość drogocennego materiału. Glazurowane naczynia zdobne są w malowidła, kształtami zaś swemi stosować się muszą do użytku, do jakiego są przeznaczone. Tu należą tak zwane *majoliki*, jak półmiski, talerze, puszki, kałamarze i t. p. Nazwę swą otrzymały od wyspy Majorki, gdzie najpierw, pod wpływem maurytańskiej sztuki, były wyrabiane. Urbino, Gubbio, Florencya i Faenza współubiegały się z sobą w tego rodzaju wyrobach. Same kształty świadczyły już o artystycznie uzdolnionej ręce twórcy; co się zaś tyczy malowideł, posilkowano się rysunkami mistrzów szkoły rzymskiej. Podobnie jak greckie malowidła na wazach, świadczą te ozdoby czystością stylu i rysunku o uszlachetnieniu rękodzielnictwa przez ogólnie rozpowszechnione poczucie piękna formalnego, które raz tylko przedtém, w starożytniej Helladzie, tak wysokiego dosięgło stopnia.